



***Nikki Logan***



***Na zawsze razem***

# PROLOG

*Dziesięć lat wcześniej,  
Perth, Australia Zachodnia*

- Marc, pozwól na chwilę.

Beth Hughes podbiegła do przyjaciela w czasie przerwy między lekcjami i odciągnęła go na bok. Chciała zamienić z nim parę słów na osobności, z dala od tłumu krzyczonej młodzieży. Uczucie rozpacz i przygnębienia, które zawładnęło nią po rozmowie z matką Marca, narastało. Miała wrażenie, że ciężki głaz przygniata ją do ziemi.

Marc wydawał się zaskoczony. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że od kilku tygodni go unikała. Nie miałyby mu za złe, gdyby teraz ją zignorował. W skrytości ducha liczyła na to. Może wtedy problem sam by się rozwiązał.

- Duncannon, za trzy minuty dzwonek - Tasmin Major przedefilowała obok kołyszącym się krokiem, znacząco patrząc na zegarek. Przyjazny uśmiech rozjaśnił twarz o nordyckich rysach. - Pani od geografii nie cierpi spóźniałskich.

- Zaraz idę - zawołał Marc, podążając za Beth, która zmierzała w kierunku parkowej fontanny.

Niski męski głos był pełen wyczuwalnego napięcia. Beth nagle skrzyła, skrywając się pomiędzy ścianą biblioteki z jednej strony a zaniedbanymi krzewami z drugiej. Właśnie tutaj zamierzała przeprowadzić poważną rozmowę.

Już wybór miejsca kompletnie zbił Marca z tropu. Zwolnił.

- Beth?

Serce waliło jej mocno w piersi i czuła suchość w gardle. Zaczepnęła głęboko powietrza i zmusiła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Beth, o co chodzi? - rzucił pełnym wahania głosem.

Zacisnęła mocno dłonie, aż paznokcie wbiły się w ciało.

- Poinformowałaś swojego chłopaka o tym spotkaniu?

Spojrzała w dal, zaciskając wargi. Nie podobał się jej sposób, w jaki zaakcentował słowo „chłopak”.

- Damien jest już w klasie. Ma dzisiaj pięć lekcji.

- My również. A może odkąd zaczęłaś spotykać się z tym przystojniakiem, przestało ci zależeć na dobrych stopniach?

Poczuła, jak palą ją policzki. Spojrzała w ziemię.

- Musiałam się z tobą zobaczyć.

- Przecież widzimy się codziennie.

- Chcę z tobą porozmawiać. W cztery oczy - dodała z naciskiem.

Uniósł głowę i wyprostował się. Kolejny raz zauważyła, jak ostatnio zmężniał. Rozrósł się w barach. Nabierał coraz bardziej męskich rysów. Jakby w dniu szesnastych urodzin chudy jak patyk nastolatek zaczął przeobrażać się w mężczyznę. Może zbyt długo zwlekałam, przemknęło jej przez głowę.

Poczuła skurcz żołądka.

- To teraz musimy spotykać się potajemnie na takim odludziu?

Oczywiście mogła udawać, że nie wie, o co mu chodzi, ale znali się zbyt dobrze, żeby uciekać się do takich sztuczek.

- Wolę unikać sytuacji konfliktowych pomiędzy tobą i Damienem.

- Jestem pewien, że McKinley doskonale wie o naszej przyjaźni. Beth, znamy się przecież od czwartej klasy szkoły podstawowej.

- Nie chcę... stwarzać pretekstów.

- Więc powinnaś wybrać inne miejsce. Chyba wiesz, z czego słynie właśnie to.

Przełknęła ślinę, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

- To miała być rozmowa w cztery oczy.

Rozległ się dźwięk dzwonka i odgłosy pospiesznych kroków. Po chwili wokół nich zapanowała kompletna cisza. Marc stanął w lekkim rozkroku i splótł ręce na piersiach.

- Masz, co chciałaś. Właśnie rozpoczęła się piąta lekcja.

- Przechodzę do innej klasy - wykrzyknęła, obawiając się, że jeśli natychmiast nie zacznie, później może zbraknąć jej odwagi. - Teraz będę w grupie B.

Spojrzał na nią z oburzeniem.

- Zmieniasz profil pod koniec roku i przechodzisz do klasy, do której chodzi McKinley?

- To nie z powodu Damiena.  
- Mam uwierzyć?  
- Chcę mieć mniej zajęć z przedmiotów ścisłych i bardziej skoncentrować się na artystycznych.

- Od kiedy?  
- Od dzisiaj.  
- Profil B jest słabszy, Beth.  
- Wcale nie. Obejmuje literaturę i filozofię, a to przedmioty, które się zdaje podczas egzaminów wstępnych na studia.  
- Przenosisz się, żeby uciec ode mnie.

Suchość w gardle, którą odczuwała przez cały czas, w tym momencie stała się nie do zniesienia.

- Nie - zaprzeczyła.  
- A więc dlaczego?  
- To nie ma nic wspólnego z tobą.  
- Bzdury. Unikasz mnie od początku semestru. Co się stało? Księżniczko, tak pochłonęło cię życie towarzyskie, że zabrakło w nim miejsca dla dawnego przyjaciela?

- Marc.  
- Może nie mam tak wysokiego ilorazu inteligencji jak ty, ale nie jestem ślepy i widzę, co jest grane. Czyżby McKinley był o mnie zazdrosny?

Potrząsnęła przecząco głową. Damien nawet nie zauważał, jak przystojny stawał się Marc. Nie dostrzegał w nim rywala i całkowicie ignorował. Był zbyt mocno osadzony w swoim świecie i skoncentrowany na własnej osobie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Beth może traktować Marca inaczej niż jak kumpla. Kumpla spisanego na straty w chwili, gdy w jej życiu pojawił się on. Oczekiwał, że Beth przejdzie do jego klasy. Dla niego było to coś oczywistego.

- Rozumiem. Chciałaś mi tylko powiedzieć, że zmieniasz profil?

Beth próbowała uspokoić oddech. Udawał, że to mało istotny fakt, a jednocześnie dawał do zrozumienia, że zrobiła coś paskudnego.

- Będziemy mieć tylko jedno wspólne zajęcia - wycodził przez zęby.

- Wiem. - W rzeczywistości Beth bardzo pragnęła, żeby Marc był częścią jej życia, i to na zawsze. Jednak sprawy ułożyły się inaczej. - Ziemia się kręci wokół słońca, nie wokół ciebie - powiedziała twardo, chociaż rozdzierało ją poczucie winy.

Pobladł, słysząc te słowa, a Beth odczuła niemal fizyczny ból. To Beth Hughes zawsze była centrum, wokół którego kręcił się świat Marca Duncannona. A ściślej mówiąc, krążyli wspólnie po jednej orbicie. Żadne z ich rodziców tego nie pochwalalo, uważając, że jest to wręcz szkodliwe.

Szczególnie dla niego.

Gdyby to była tylko opinia jego stukniętej matki, Beth zbytnio by się nią nie przejęła. Ale i jej rodzice w pełni podzielali to zdanie, a przecież tata, Russell Hughes, nigdy, przenigdy się nie mylił. Po długiej, bolesnej rozmowie obiecała ojcu, że na jakiś czas ograniczy kontakty z Markiem do minimum. Nigdy dotąd nie złamała danego słowa.

- Jeśli nie robisz tego, żeby być bliżej McKinleya i żeby uciec ode mnie, to co tobą kieruje?

- Nie wolno mi raz zrobić czegoś dla siebie? Bo tak chcę?

- Beth, nigdy nie podejmowałaś pochopnych decyzji. Robiłaś plany i realizowałaś je.

- Zmieniłam zdanie. Zdarza się.

W jego spojrzeniu dostrzegła niedowierzanie. Może domyśla się, że kłamię, zastanawiała się.

- A co ze studiami, z biologią?

Ponownie zaschło jej w gardle. Dlaczego nie chce przyjąć do wiadomości faktów, tylko draży i draży? W ten sposób zmusza ją, żeby jeszcze mocniej go raniła.

- To było twoje marzenie, nie moje.

- I teraz mi to mówisz? Podjęliśmy decyzję wspólnie trzy lata temu.

- Wtedy uważałam, że to świetny pomysł.

- Jasne, na przeczekanie, póki nie pojawi się coś lepszego, a właściwie ktoś.

- Ile razy mam powtarzać, że nie chodzi o Damiena.

Marc zrobił krok do przodu, na co Beth cofnęła się w kierunku ściany biblioteki. Ależ on jest wysoki, pomyślała.

- Wiem, co powiedziałaś, ale nie wierzę w ani jedno słowo. Przyjaźnimy się od ośmiu lat. Dokładnie przez połowę naszego życia. Chcesz to wszystko przekreślić na skinienie ręki pierwszego lepszego, który się tobą zainteresował? Tak jesteś spragniona czułości?

Oparła się mocno plecami o ścianę. Wiedziała, że kolejne słowa jeszcze mocniej go zranią. Wiedziała też, że potrafi odpowiedzieć atakiem, kiedy ktoś zada mu ból. Często reagował w ten sposób na agresję matki.

- Ludzie się zmieniają. Dorastają. Może dojrzeliliśmy do rozstania?

- Doskonale widzę, jak się zmieniasz. - Spojrzał na nią wymownie i zmierzył wzrokiem od stóp do głów. - Ale nigdy nie podejrzewałem, że staniesz się tak banalna.

- Ja tylko... Ja tylko potrzebuję trochę przestrzeni. Tak długo byliśmy nierozłączni, że praktycznie nie potrafimy oddzielnie funkcjonować wśród innych. Nie potrafimy się określić, kiedy nie jesteśmy razem.

- Nie próbuj nic upiększać i ubierać w wielkie słowa. Potrzeba odkrycia własnej osobowości? To historyjka, w którą sama nie wierzysz - powiedział i pochylił się nad nią, przypierając ją do ściany.

Wzdrygnęła się, a serce zaczęło jej mocniej bić. Był tak bardzo blisko. To historyjka z twoją matką w roli głównej. Prosiła mnie, a właściwie błagała, żebym zerwała nasze kontakty.

Chciała mu to wykrzyczeć prosto w twarz, tak znajomą, jak własne odbicie w lustrze. Nie mogła jednak tego zrobić. Zbyt mocno by cierpiał, gdyby dowiedział się, jak oceniała go matka, po śmierci ojca jedyna bliska mu osoba.

- Marc, możesz osiągnąć wszystko, co zechcesz. Ja ci nie jestem do tego potrzebna. Przed każdym z nas stoi otworem cały świat.

Pochylił się. Teraz czuła na twarzy jego oddech. Dreszcz, który przeszył jej ciało, nie był spowodowany strachem. Bezgranicznie ufała Marcowi i miała stuprocentową pewność, że nigdy jej nie skrzywdzi.

- Dlaczego nie możemy odkrywać świata razem? - mruknął, próbując opanować emocje. - Tyle nas łączy. Co może zaoferować ci McKinley, czego ja nie mogę?

Brak dawnych więzi, brak historii wieloletniej przyjaźni. Brak presji rodziców.

- Proszę tylko o trochę przestrzeni dla siebie. Co w tym złego?

Twarz wykrzywił mu gniew, przeklął pod nosem.

- Miałaś przestrzeń przez dwa lata, Beth. Może gdyby to zdarzyło się wcześniej, nie zostałbym teraz odtrącony przez najbliższego przyjaciela.

Nie reagowała, kiedy ujął jej głowę w dłonie i zaczął namiętnie całować, tak jakby był już doświadczony, jakby to nie był jego pierwszy raz.

Oszołomiona zapachem, zachowaniem, odruchowo przyłgnęła do niego całym ciałem i zapraszająco rozchyliła usta. Zawładnęła nią burza hormonów, zupełnie nowe przeżycie, coś, o czym nigdy nie ośmieliłaby się nawet marzyć.

Po chwili zdesperowana odepchnęła go tak mocno, aż się zachwiał. Drżącymi rękami starała się go powstrzymać. Spojrzał na nią z widoczną złością.

- Czy McKinley wie, jak potrafisz się całować?

Nie miał okazji się dowiedzieć. Nigdy się nie całowali. Z nikim jeszcze się nie całowała. Do teraz.

- Nie waż się więcej mnie dotknąć - rzuciła stłumionym szeptem, który zabrzmiał obco.

- Beth...

- Nie odzywaj się do mnie... nigdy więcej.

- Nie chcesz chyba powiedzieć... - Twarz Marca wykrzywił grymas bólu.

Spojrzała na niego wzrokiem pełnym cierpienia.

- Dlaczego do tego tak podchodzisz? Dlaczego wszystko albo nic? Prosiłam przecież tylko o trochę życiowej przestrzeni. O szansę, żeby każde z nas mogło odkryć siebie. To wszystko. Sądziłeś, że możesz mnie zatrzymać na zawsze?

- Nie muszę siebie odkrywać na nowo, doskonale wiem, jaki jestem. Do tej pory uważałem, że znam również ciebie. Najwidoczniej się myliłem. - Odskoczył jak oparzony. - Potrzebujesz przestrzeni, Elizabeth? W porządku. Będiesz ją mieć. Jeśli tak ci na tym zależy, wszystkiego najlepszego na drodze życia z McKinleyem.

Wykrzyczał te słowa i znikł z pola widzenia. Najlepszy przyjaciel.

Ze wszystkich sił próbowała pozostawić za sobą wąską kładkę, ale on postanowił spalić wszystkie mosty. Drżącymi palcami dotknęła opuchniętych ust. Przykucnęła pod

chropowatą ścianą biblioteki. Nie potrafiła uronić ani jednej łzy. Czowała się pozbawiona jakichkolwiek emocji, pusta w środku.

TLR



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Dziesięć lat później,*

*wybrzeże południowe, Australia Zachodnia*

Kto by się domyślił, że cisza może mieć tak wiele odcieni.

Głęboka, czarna cisza w środku nocy pod gwiaździstym niebem Australii Zachodniej, na kompletnym odludziu. Codzienna cisza barwy zielonej, panująca w opuszczonym magazynie, który Beth przekształciła na studio. Przerywana jedynie kolorowymi plamami jej najnowszych prac. Świeżo odkryta beżowa cisza wewnętrzna, zastępująca hałaśliwy natłok głosów i myśli, które teraz brzmiały jak kojący szum.

I zupełnie inny odcień ciszy...

Ognistoczerwona cisza przy spotkaniu z mężczyzną, który nie wydawał się specjalnie zadowolony z odwiedzin. Może podświadomie wyczuła, że tak będzie, i dlatego tak długo zwlekała. Nie, spodziewała się, że zareaguje inaczej. Przerazający brak jakiegokolwiek dźwięku aż świdrował w uszach. Przełknęła ślinę.

- Marc.

Wydawał się znacznie potężniejszy od dawnego przyjaciela ze szkolnych czasów. Inaczej go zapamiętała. Jednak Marc Duncannon miał jedną niezmienną cechę - sposób, w jaki stawał, kiedy czuł się niepewnie. Z rozstawionymi szeroko nogami, jakby szykował się do odparcia ataku.

Splótł ręce na piersiach i nadal przyglądał się jej w kompletnym milczeniu. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nabrał atletycznej budowy, pomyślała na poły z ironią, na poły rozbawiona. Natomiast jej sylwetka nie stała się bardziej kobieca, zupełnie nie zmieniła się od ich ostatniego spotkania. Będzie miał jeszcze jeden powód do rozczarowania, pomyślała.

Nagle doszła do wniosku, że ta wizyta to chybiony pomysł.

- Nawet się ze mną nie przywitasz? - spytała.

Skinął nieznacznie głową.

- Beth - wycedził przez zęby.

Krótki dźwięk zabrzmiał jak odgłos spadającego kamienia. Kiedyś wymawiał jej imię zupełnie inaczej. Beth. Betho. Bethlehem. Mieli całą listę zabawnych przezwisk i zdrobnień, którymi się do siebie zwracali. Tylko raz użył pełnego imienia Elizabeth. Tego dnia, kiedy ją pocałował.

Tego samego dnia, kiedy go zraniła.

Z trudem przełknęła ślinę. Sparaliżowana strachem, ale i pełna emocji. Była blisko Marca. Znowu.

- Jak się masz?

- Właśnie zbieram się do wyjścia.

OK., spodziewała się, że nie będzie tu mile widziana, ale tak chłodne przyjęcie mimo wszystko zabolalo.

- Ja tylko... Daj mi kilka minut. Proszę.

Spojrzał na nią i zaraz odwrócił wzrok. Obrócił się na pięcie i dalej ładował bagażnik samochodu. Beth zastanawiała się, czy pozostać na miejscu, czy podejść bliżej. Zdesperowana, chciała, żeby zwrócił na nią uwagę. Choćby na krótką chwilę.

- Mogłabyś mi pomóc załadować bagażnik, zamiast beczynnie stać i się gapić.

Rzucone ostrym tonem słowa stworzyły niewidzialny mur, który trudno było przekroczyć.

Kompletnie zaskoczona, odruchowo wzięła się do pracy. Jego uwaga wcale nie zabrzmiała przyjaźnie, ale wszystko było lepsze od wszechogarniającej ciszy. Może to też jedyna szansa, żeby z nim porozmawiać. Beth nie zamierzała zmarnować okazji.

- Zajechałam do domu, w którym kiedyś mieszkałeś. Sąsiedzi powiedzieli, gdzie cię mogę znaleźć - wyrzucała z siebie słowa jak pistolet maszynowy. - Słyszałam o twojej mamie. Co się stało? Byliście przecież bardzo ze sobą związani...

Uniósł wzrok i obdarzył ją spojrzeniem, które dobrze знаła, ale teraz oczy Marca były bardziej przenikliwe, jak oczy dorosłego człowieka po przejściach.

- Przyjechałaś z daleka, żeby o to zapytać?

Poczuła ból i rozczarowanie. Kiedyś Marc nigdy nie bywał wobec niej złośliwy. Musiał opanować tę sztukę do perfekcji od czasu naszego ostatniego spotkania, pomyślała z żalem.

- Nie. Przepraszam... - Zabrzmiało to zupełnie nieprzekonująco, ale nie przychodziło jej do głowy żadne inne wyjaśnienie.

- Za to, że zjawiasz się tu bez zaproszenia, czy za to, że zerwałaś wszelkie kontakty na dziesięć lat? Jakbyś nagle zapadła się pod ziemię. - Wyprostował się i spojrzał wyraźnie poirytowany.

Jak mogłam zapomnieć, że zawsze wyrażał bez ogródek to, co mu leży na sercu, przemknęło przez głowę Beth.

- Właśnie dlatego tu jestem. Chciałam ci coś wyjaśnić - zaczęła niepewnym głosem.

- Więc będziesz zmuszona wyjaśnić mi to innym razem. - Ponownie pochylił się nad bagażnikiem. - Już ci powiedziałem, że zaraz wyjeżdżam.

Przyglądała się, jak wrzucał do bagażnika ostatnie drobiazgi. Telefon komórkowy, apteczkę, piankę do nurkowania. Zmarszczyła brwi.

- Dokąd się wybierasz?

Jego spojrzenie stwardniało, ale Beth pozostała niewzruszona. Małżeństwo nauczyło ją odporności psychicznej.

- Otrzymałem informację o wypadku w zatoce Holly. Jadę sprawdzić, co się stało.

- O wypadku?

- Wieloryb utknął na mieliźnie. Trzeba go ratować. Nie mam czasu zabawiać cię rozmową.

Nie dała po sobie poznać, jak oburzyła ją ta nieuprzejma uwaga. Przyjechała tu w ramach terapii, nie dla rozrywki. W przeciwnym wypadku nie narażałaby się na takie traktowanie.

- Zajmę ci tylko chwilę...

Zignorował ją, otwierając ostrym szarpnięciem drzwi od strony kierowcy.

- W akcji ratunkowej liczy się każda minuta. I tak już jestem przez ciebie spóźniony.

Podjęła decyzję bez najmniejszego wahania. Zbyt wiele wysiłku kosztowała ją dzisiejsza wizyta. Nie mogła pozwolić, żeby teraz odjechał. Nie miała pewności, czy odważy się spróbować jeszcze raz. Podbiegła do samochodu i wskoczyła na siedzenie pasażera.

ra, w momencie kiedy przekręcał kluczyk stacyjki. Siedząc obok, miała wrażenie, że jest wyższy i mocniej zbudowany, niż się jej wcześniej wydawało.

- Wsiadaj, Beth.

Niski, chrapliwy ton głosu pasował do jego atletycznej sylwetki. Jednak pozostało w nim wiele z dawnego Marca. To ją rozczyliło.

- Muszę z tobą porozmawiać. Za wszelką cenę. Choćby po drodze.

- Tracisz czas - mruknął zniecierpliwiony.

Tym razem nawet nie usiłowała opanować złości.

- Nie. To ty tracisz czas. Ruszaj!

Marc Duncannon praktycznie nie odrywał wzroku od drogi, a ręce zacisnął na kierownicy, mocno, aż do bólu. W ten sposób chciał opanować drżenie palców i ukryć emocje. Nie da po sobie poznać, jak bardzo jest poruszony.

Beth Hughes.

Nadal szczupła i wysportowana, jak za dawnych czasów.

Bardzo zgrabna, chociaż można by się zastanawiać, kiedy ostatnio jadła obiad. Wysokie czoło, prosty nos. Pełne usta. Rozpoznałby ją nawet na końcu świata. Nie musiałyby się odzywać. Nadal dobrze pamiętał tembr jej głosu, chociaż usiłował wyprzeć ze wspomnień wszystko, co było z nią związane.

Wydawała się jednak dziwnie zmęczona, poszarzała. Jakby zależało jej, by zniknąć w tłumie. Zupełnie nie w stylu Beth. Kiedyś lubiła się wyróżniać.

Znużony wyraz twarzy, jak u jego matki. Mocno naciskał na pedał gazu, by jak najszybciej pokonać odległość od domu do autostrady prowadzącej w kierunku wybrzeża.

Wnętrze samochodu przesycił zapach, który zawsze kojarzył mu się z Beth. Krem na bazie orzechów kokosowych i czegoś jeszcze. Widocznie nadal go używała. Pozbawiony substancji chemicznych, nietestowany na zwierzętach. Przywoływał wspomnienia gorącego lata, plaży, bikini... i Beth. Ciężko będzie usunąć ten zapach z tapicerki samochodu, pomyślał.

Zapomnieć o niej też było ciężko. Choć miesiącami się do tego zmuszał, chyba nie odniósł pełnego sukcesu. Udało mu się jedynie usnąć wspomnienia. Wystarczyło kilka chwil w jej towarzystwie, żeby zalała go fala obrazów z dzieciństwa.

Starał się skupić uwagę na drodze, ale kątem oka obserwował Beth. Co chwila przygryzała zębami pełne wargi. Poczł przyplw wzruszenia. Kiedyś zawsze tak robiła, kiedy miała do rozwiązania jakiś problem albo usiłowała go przechytryć. Nie trwało to jednak długo i zaraz wybuchala zaraźliwym śmiechem. Tego dnia było zupełnie inaczej. Rozchyliła usta i westchnęła, gotowa rozpocząć rozmowę, na której tak bardzo jej zależało.

- Od kiedy zajmujesz się ratowaniem wielorybów?

Spodziewał się zupełnie innego pytania. Czyżby mi się zdawało, że zadrzał jej głos? - zastanawiał się.

- To nieodłączna część życia na południowym wybrzeżu. A ja jestem wyszkolonym ratownikiem, który akurat mieszka najbliżej miejsca zdarzenia.

- To wymaga szkolenia?

- Uczymy się, nabierając doświadczenia w akcjach ratunkowych.

- W ilu brałeś udział?

- W pięciu. W tej części wybrzeża takie wypadki zdarzają się bardzo często.

- Dlaczego akurat tutaj?

Rozmawiali jak zupełnie obcy ludzie. Może lepiej byłoby, gdybyśmy się nigdy więcej nie spotkali, przemknęło mu przez głowę.

- Nie wiem - odparł, wzruszając ramionami.

Zapanowała krępująca cisza. Zwolnił i ostro skręcił w prawo. Właśnie zjechali na wyboistą wapienną drogę prowadzącą w kierunku oceanu. Zatoka miała kształt półksiężyca o elektryzująco niebieskiej barwie.

- Kiedy dotrzemy na miejsce?

Usłyszał w jej głosie napięcie, równe temu, jakie sam odczuwał.

- Zdasz powiedzieć wszystko, co zamierzasz.

- Musiałam się z tobą zobaczyć. Chcę ci coś wytłumaczyć i przeprosić.

- Za co?

- Marc... - szepnęła.

- Przyjaźń się kończy. Tak bywa. - Wzruszył ramionami, udając obojętność.

Przez ułamek sekundy zawahała się, jakby czegoś nie mogła zrozumieć. Po krótkiej chwili dostrzegł błysk determinacji w jej oczach.

- Jednak przyjechałam z daleka i chciałabym, żebyś mnie wysłuchał...

Marc zatrzymał samochód. Biały półksiężyc linii brzegowej stykał się z błękitem oceanu. Na piasku, w odległości około sześciu metrów od siebie, miały się dwa potężne, ciemne kształty.

Dwa wieloryby. Marc przeklął pod nosem.

- Teraz nie możemy rozmawiać, Beth. Muszę się nimi zająć.

TLR

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wystarczył jeden rzut oka na to, co działo się na plaży, żeby Beth podjęła szybką decyzję. Zwlekała z rozmową dwa lata, mogła poczekać jeszcze parę godzin. Dla wielorybów liczyła się każda minuta.

Marc złapał telefon komórkowy i dzwonił, w biegu zrzucając dzinsy i koszulkę. Podał miejsce zdarzenia lokalnym władzom i poprosił o pomoc.

Beth skoncentrowała się na wyjmowaniu rzeczy z bagażnika, byle tylko nie spoglądać na Marca. Pewnie sporo czasu spędza na siłowni, pomyślała. Nogi się pod nią ugięły. Uczucie, jakiego nie doświadczyła od długiego czasu.

Marc cisnął komórkę na tylne siedzenie i zaczął naciągać piankę. Następnie złapał apteczkę i torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami. Dołożył do niej telefon, linkę holowniczą, zwój lin i rozciągliwe pasy z haczykowatymi uchwytyami umieszczonymi na obu końcach.

- Łap, będą ci potrzebne - zawołał, rzucając w kierunku Beth koszulkę, sportową bluzę z kapturem i stary ręcznik. Sam zbiegł z wydmy, pędząc na plażę.

Beth nie szczędziła wysiłku, żeby za nim nadążyć. Kilka razy potknęła się. Zdjęła buty, zupełnie nieodpowiednie na taką okazję. Doskonale zdawała sobie sprawę, co się stało.

Zwierzę, pokryte skórą lśniącą jak marmur, leżało martwe.

Beth zrobiło się niewypowiedzianie smutno. Oskarżała siebie, że to z jej powodu spóźnił się o kilka bezcennych minut.

Marc przystanął na moment, wtulił głowę w ramiona. Jednak już po chwili biegł wzdłuż plaży, gdzie drugi wieloryb miotał się w rytmie obmywających go fal.

Wieloryb nadal żył.

Marc krążył wokół nieszczęsnego ssaka. Część ogromnego cielska znajdowała się na grząskim piasku, w miejscu, gdzie plaża stykała się z oceanem. Grzbiet zwierzęcia był zupełnie suchy.

- Beth, włóż bluzę. - Nie dodał nawet „proszę”.

- Jest upał. Ugotuję się.

- To lepsze od porażenia słonecznego. Spędzimy tu sporo czasu. - Dokładnie zapiął piankę i mocniej nasunął na głowę czepek. - Przemokniesz do suchej nitki. Za dwie godziny podziękujesz mi.

- Za dwie godziny? - To oznaczało, że mają spędzić kilka godzin w wodzie, razem z rannym olbrzymem.

Marc wydawał się spokojny. Wszedł do morza, zanurzył w wodzie koszulkę i ręcznik.

Widać było, że nie pierwszy raz bierze udział w tego typu akcji.

Zanim Beth zdążyła włożyć bluzę i naciągnąć kaptur dla ochrony przed słońcem, był już u boku groźnego olbrzyma. Według opinii Marca ten gatunek nie był niebezpieczny dla człowieka. Nie stanowiło to wielkiego pocieszenia dla Beth.

Wieloryb łypał na Marca złowrogo, a Marc zaczął do niego przemawiać spokojnym, przyciszonym głosem. Wypowiadał zupełnie przypadkowe słowa.

Spojrzenie walenia ani na chwilę nie złagodniało.

Kiedy jednak Marc delikatnie położył wilgotny ręcznik na wysuszoną skórę, zwierzę z ulgą przymknęło oko i wydało z siebie jęk, aż zatrzęsł się piasek pod stopami Beth. Poczula, jak łzy napływają jej do oczu. Weszła do wody.

- Na drugą stronę - rozkazał szorstko. - Trzymaj się z daleka od płetwy brzusznej. Ma ogromną siłę.

- Jakiej płetwy?

- Tej na dole. - Rzucił jej nasiąkniętą wodą koszulkę tak mocno, że ledwie zdołała złapać. - Położonej najbliżej brzucha - dodał.

Wieloryb praktycznie leżał w bezruchu, kiedy na zmianę przykładali mokre okłady na wysuszoną jak pergamin skórę. W ciągu piętnastu minut palce Beth zdrętwiały od wykręcania mokrego ręcznika. Zmieniła technikę i teraz ciągnęła mokrą szmatę po piasku. Po chwili rozbolał ją kręgosłup, ale przynajmniej pracowała bardziej efektywnie. Marc był niezwykle skupiony. Znajoma twarz, a jednocześnie nieznajoma, przemknęło jej przez głowę.



Ogarnęła ją fala wspomnień z młodości. Marc odrabia lekcje, Marc wygrywa z nią w szachy, Marc wysłuchuje zwierzeń. To samo skupienie. Bez wątpienia pod pewnymi względami zupełnie się nie zmienił.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odzywało. Poświęcali całą uwagę wielorybowi.

- Musisz odpocząć - odezwał się Marc niechętnym, a jednocześnie kategorycznym tonem.

- Nic mi nie jest. - Beth nawet nie usiłowała ukryć poirytowania.

- Jesteś odwodniona i masz spieczone wargi. W takim stanie nie pomożesz żadnemu z nas.

W duchu przyznała mu rację. Jeśli Marc będzie musiał zająć się nią, to przerwie akcję ratunkową. Rozprostowała plecy i otarła rękawem pot z czoła.

- Sam chlapnąłbym trochę wody. - Celowo użył młodzieżowego wyrażenia, z nadzieją, że ją przekona. Ale do Beth praktycznie dotarło tylko jedno słowo.

W wyobraźni natychmiast ujrzała realistyczny obraz oszronionej butelki i usłyszała charakterystyczny odgłos towarzyszący otwieraniu. Dźwięk najwspanialszy na świecie. Piękniej brzmiał chyba tylko świst korka wyskakującego z butelki szlachetnego wina Chenin Blanc.

Dźwięki, których nie słyszała od dwóch lat, kiedy postanowiła skończyć z piciem.

Mimo suchości w gardle miała wrażenie, że ślina napływa jej do ust. Do tej pory czasami reagowała jak pies Pawłowa na samą myśl o alkoholu. Mimo ogromnego wysiłku i pracy nad sobą dawny nałóg od czasu do czasu dawał o sobie znać. W najmniej oczekiwanym momencie.

Wyciągnęła z bagażnika dwulitrową butelkę niegazowanej wody mineralnej. W tym momencie dotarło do niej, jak bardzo była spragniona. Nie chciała, żeby Marc to zauważył. Podała mu butelkę. Spojrzał znacząco, ale wziął butelkę i przyłożył do ust, ciągnąc długi łyk.

- Jak ją opróżnimy, przyda się do polewania wieloryba.

Marc potrząsnął przecząco głową.

- Musimy być bardzo oszczędni, w bagażniku została jeszcze tylko jedna.

Cztery litry wody na dwie osoby w australijskim upale, przy słonecznym blasku odbijającym się w powierzchni słonej wody morskiej.

Marc zwrócił jej butelkę. Nie była w stanie już dłużej udawać. Musiała zwilżyć usta.

Choćby tylko wodą.

Nie rzuciła się na nią łapczywie, choć miała ochotę. W grupie AA nauczyła się powściągliwości.

Kilka łyków przywróciło jej siłę. Lekkim krokiem przeszła przez plażę i pochyliła się nad otwartym bagażnikiem. Chciała włożyć butelkę do torby, żeby zbytnio się nie nagrzała. Przy okazji musiała trochę przesunąć znajdujące się tam rzeczy. Telefon komórkowy, apteczkę, torebkę płatków śniadaniowych, kilka tabliczek czekolady, latarkę, drugą butelkę wody i...

Odskoczyła jak oparzona.

Spora, srebrna piersiówka, jakie produkowano w latach siedemdziesiątych, wypadła na piasek. Szczelnie zamknięta, bogato zdobiona. Prawdopodobnie kiedyś należała do ojca Marca. Jedna z niewielu zachowanych pamiątek. Ojciec go osierocił, kiedy Marc miał zaledwie dziewięć lat. Do takiej piersiówki zwykle wlewało się whisky albo wódkę.

Pospiesznie wsunęła piersiówkę do torby. Cała się trzęsła. Nie mogła w jednej chwili zmarnować tego wszystkiego, nad czym pracowała od dwóch lat. Spojrzała kątem oka, czy Marc coś zauważył. Na szczęście był całkowicie pochłonięty ratowaniem wieloryba. Nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Beth już raz się uodporniła. Pokonała demony czyhające praktycznie na każdym rogu ulicy i w wielu reklamach. Pech chciał, że trafiła na alkohol na dalekiej plaży, w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc. I to na oczach Marca... Okrutna ironia losu.

Nagle zaskakujący widok przerwał jej rozmyślenia. Płetwa brzuszna wieloryba znajdowała się częściowo pod wodą, nawet kiedy nie było wysokiej fali. Ta sama płetwa, która kilka godzin wcześniej była całkowicie wysuszona.

- Marc... nadchodzi przypyływ.

Uniósł wzrok, jakby dziękował niebiosom.

- Świetnie, może uda się ją zepchnąć z mielizny dowody.

- Ją?

- Tak. Samicę można rozpoznać po krótkiej, wygiętej płetwie grzbietowej. - Odwrócił głowę i wzrokiem wskazał martwego wieloryba. - Sądzę, że to było jej młode.

Beth zrobiło się bardzo smutno. To przecież matka, która znalazła się na mieliźnie, ratując życie dziecka, a mimo to młodego nie dało się uratować.

Nie zważając na uporczywy ból pleców, nadal wlokła po piasku ociekający wodą ręcznik i robiła okłady. Paradoksalnie ten ból sprawiał jej satysfakcję. Dwa lata temu nie zdobyłaby się na taki wysiłek i nie obchodziłby jej los konającego wieloryba. Dwa lata temu nie była zdolna do żadnych wyższych uczuć.

Spojrzała ponownie na targane bólem zwierzę.

- Gdzie oni są? - spytała z gniewem.

- Kto? - Marc nawet nie uniósł oczu.

- Ratownicy. Powinni już tu być.

- My jesteśmy ratownikami, Beth. - Tym razem Marc obdarzył ją pełnym zaskoczenia spojrzeniem. - Od trzech godzin prowadzimy akcję ratunkową.

- Miałam na myśli ekipę ratowniczą wyposażoną w łodzie, koparki, specjalistyczny sprzęt do ratowania wielorybów.

Kiedy Marc wybuchnął śmiechem, Beth miała wrażenie, że to fatamorgana spowodowana nadmiarem słońca.

- Specjalistyczny sprzęt do ratowania wielorybów - powtarzał, nie przestając się śmiać. Po chwili spoważniał. - Duża grupa ratownicza działa jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd, gdzie całe stado znalazło się na mieliźnie. Jak tylko opanują sytuację, przyjadą nam na odsiecz.

- Całe stado? Te stworzenia chyba oszalały.

Marc uznałby, że Beth stroi fochy, gdyby nie fakt, że wkładała wiele wysiłku, by pomóc wielorybowi. Przyjrzał się jej uważniej. Zauważył, że była bardzo blada, mimo kilku godzin spędzonych w promieniach palącego słońca. Wyglądała na wykończoną psychicznie i fizycznie. Tak samo podkrążone oczy jak u mojej matki po szczególnie ostrej libacji, pomyślał.

Kiedyś bardzo to przeżywał, ale na szczęście udało mu się zamknąć ten rozdział życia.

A to był dopiero początek akcji. Może powinienem odesłać ją do domu? - zastanawiał się. Równie dobrze poradziłby sobie sam. Miał wystarczające zapasy, żeby przetrwać noc.

Zabrał ze sobą wodę i jedzenie. Tabletki potasu przeciw skurczom. Whisky i piankę dla utrzymania ciepła. Powinno wystarczyć, zanim przybędą posiłki.

- To się często zdarza - powiedział, widząc, że Beth nie bardzo wie, o co chodzi. - Podobno tam pracuje czterdziestu ochotników.

- Czterdziestu! Nie mogliby przysłać choć kilku?

- Tych kilku czeka na sygnały o innych wielorybach wyrzuconych na mieliznę wzdłuż tej części wybrzeża. Wiedzą, że mamy wszystko pod kontrolą.

Śmiech Beth zabrzmiał trochę histerycznie, do tego wymachiwała ociekającą wodą koszulką. Marc powoli tracił cierpliwość.

- Nikt cię tu nie trzyma. Doskonale poradzę sobie sam. Dość mam narzekania.

- Nie narzekam. Jestem przerażona. Nie wiem, co robić.

- Doskonale sobie radzisz. Dalej zwilżaj jej ciało i staraj się, żeby woda nie dostała się do nozdrzy. Nic więcej nie możemy zrobić.

Zapadła cisza, przerywana jedynie jednostajnym rytmem fal oceanu i jękami wieloryba. Marc usiłował ignorować Beth, ale cały czas zastanawiał się, po co właściwie przyjechała. Z jednej strony intrygowało go to, bo stanowiło zapewne wyjaśnienie zagadki sprzed dziesięciu lat. Z drugiej strony nie chciał rozdrapywać dawnych ran. Był przekonany, że wymazał z pamięci Beth Hughes.

- Może chcesz zadzwonić do Damiena i powiedzieć mu, gdzie jesteś?

- Nie muszę się nikomu opowiadać.

- Nie o to mi chodziło. Sądziłem, że będzie niepokoić się o ciebie.

- Nie będzie. - Beth, nie podnosząc głowy, nasunęła głębiej kaptur, tak że zasłaniał całą twarz.

Chłodny ton Beth dawał wiele do myślenia.

- Dlaczego? - zapytał trochę wbrew sobie. - Beth?

- Rozstaliśmy się. Jestem niezależna.

Koniec małżeństwa idealnej pary ze szkoły Pymont High. Roześmiałby się w duchu, gdyby nie dostrzegł grymasu bólu na jej twarzy.

- Przykro mi, Beth.

- A mnie nie.

Poruszała się jak robot, przecierając trzymetrowy odcinek ciała wieloryba. Z góry na dół, z góry na dół. Zwierzę nabrało zaufania i poddawało się tym zabiegom bez sprzeciwu. Od czasu do czasu pod dotykiem dłoni Beth ogromne cielsko trzęsło się, jakby samica miała łaskotki. Kiedyś oddałby wszystko, żeby to jego zechciała tak pogłodzić.

Wzięła ślub z McKinleyem jako młoda dziewczyna, ale teraz była wolna. I szukała towarzystwa dawnego kumpla. Zapaliło mu się w głowie ostrzegawcze światełko.

- Chyba nie oczekujesz, że zaczniemy od nowa?

- Słucham? - Zastygła w bezruchu, obdarzając go chłodnym spojrzeniem.

- Dla mnie wszystko między nami bezpowrotnie się skończyło w dniu spotkania za biblioteką.

- Sądzisz, że właśnie po to przyjechałam?

- Chciałbym się wreszcie dowiedzieć po co. Mów, co masz do powiedzenia.

Bezpośrednia zachęta jakby ją sparaliżowała. Nagle nie mogła wydusić z siebie słowa.

- Zraniłam cię wtedy i chcę, żebyś wiedział, że jest mi bardzo przykro. Przepraszam - zaczęła cicho.

- Wcale mnie nie zraniłaś.

- Nieprawda. Doskonale pamiętam.

- Co?

- Jak zareagowałeś. Jak się rozstaliśmy.

- Już ci mówiłem. Przyjaźnie się rozpadają.

- Rzadko w ten sposób. Marc, pocałowałeś mnie wtedy.

Smak kokosu. Zacisnął zęby. Nie chciał wracać do gorzko-słodkich wspomnień, które udało mu się wymazać z pamięci. Usiłował opanować drżenie rąk.

- To nie był pocałunek, Beth. Raczej komunikat.

- Jaki komunikat?

- Pałący wargi. Niezapomniany. Przypieczętowanie końca przyjaźni. Chciałem, żeby dotarło do ciebie, że pragniesz samych pocałunków, obojętnie kto cię całuje. Że to nie musi być McKinley.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i wyjątkowo starannie wykręcała koszulkę, dając sobie odrobinę czasu do namysłu. Przez ułamek sekundy było mu przykro z powodu tych słów, ale zaraz wrócił do opracowanej strategii. Najlepiej zachować całkowitą obojętność wobec Beth Hughes i nie wracać do dawnych czasów. Za kilka godzin ona znów zniknie.

- To było dziesięć lat temu. Nie byłem pogrążony w rozpacz przez cały ten czas. Co więcej mógłbym ci powiedzieć?

- Może „miło cię widzieć, Beth”. - W oczach miała łzy.

Albo doskonale odgrywała swoją rolę, albo naprawdę bardzo wzruszyło ją to spotkanie. A i on nie pozostał obojętny, choć upłynęło tyle lat.

- Zawsze byliśmy wobec siebie szczerzy - odparł spokojnie.

Twarz jej jeszcze bardziej pobladła. Przez jakieś dwadzieścia minut pracowali w kompletnym milczeniu.

- Jeśli chcesz, weź mój samochód i wracaj, mnie podwiezie ktoś z ekipy ratowniczej. - Marc nie mógł dłużej znieść ciszy.

- Nie, dziękuję.

- Dlaczego? Powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia. Przeprosiłaś za krzywdę, którą, jak ci się zdaje, mi wyrządziłaś. - Wzruszył ramionami, udając całkowitą obojętność.

- Czyli sprawa załatwiona.

A przynajmniej powinna być, o ile podała prawdziwą przyczynę wizyty. Po jej zachowaniu poznał, że chodziło o coś jeszcze.

- Nie przyjąłeś moich przeprosin.

- Czy to konieczne?

- Chciałabym...

Czyli robiła to bardziej dla siebie niż dla niego.

Nie powinien być zaskoczony. Przyjmij jej przeprosiny i niech wreszcie znikną.

- Nie dajesz znaku życia przez dziesięć lat i nagle pojawiaasz się, szukając rozgrzeżenia. Myślisz, że je otrzymasz? Dlaczego?

- Bo... zawahała się, jakby wcześniej w ogóle nie rozważała takiej możliwości. - Bo ty jesteś Marc.

Cofnął się dwa kroki, żeby zwierzę nie wyczuło jego wzburzenia.

- To działało jak zaklęcie, kiedy byliśmy dziećmi. W ciągu dziesięciu lat wiele się zmieniło, nie jestem już zahukanym chłopcem.

- Nigdy nie byłeś, Marc. Zawsze osiągałeś wyznaczony cel. Chciałabym usłyszeć, że mi wybaczasz.

- A to coś nowego. Poza przyjęciem przeprosin oczekujesz jeszcze przebaczenia. To jakiś program terapeutyczny? - Czytał wiele na ten temat, kiedy chciał lepiej poznać stan matki. Kiedy jeszcze mu na tym zależało. - Zadośćuczynienie wszystkim, których się kiedykolwiek skrzywdziło?

Tym razem to Beth cofnęła się o krok, żeby wielorybowi nie udzieliło się zdenerwowanie.

- Na którym miejscu listy mnie umieściłaś? Mam nadzieję, że w pierwszej dziesiątce swoich porażek życiowych. - Teraz, kiedy nadarzyła się ku temu okazja, ranienie Beth nie było tak satysfakcjonujące, jak to sobie wyobrażał przed laty.

Wyprostowała się, unosząc głowę. Błysk złości w oczach dodawał jej wyjątkowego uroku.

- Dzięki, Marc. W ten sposób znacznie ułatwiłeś mi sprawę.

- O co ci chodzi?

- Sądziłam, że jesteś delikatny i pełen współczucia dla innych, jak dawniej. Pomyliłam się.

- Dałaś mi dobrą lekcję życia. Dzięki temu uodporniłem się na przeciwności losu.

- W porządku. Przykro mi z powodu tego, jak cię wtedy potraktowałam. Podjęłam złą decyzję i słono za nią zapłaciłam. Przykro mi, że przeze mnie nie poszedłeś na studia.

- Nie schlebiaj sobie...

- Ale najbardziej mi przykro, że udało mi się ciebie odszukać. Do tej pory byłeś dla mnie wzorem do naśladowania. Mądry, lojalny, uczciwy. Latami pragnęłam się do ciebie

upodobnić, a teraz prawda wyszła na jaw. Jesteś zgorzkniały i nieczuły. Niepotrzebnie tak się przejmowałam.

Wyprostowała się i uniosła głowę. W tym momencie powinna ostentacyjnie odejść, ale nie miała dokąd.

- Nie przyjechaliśmy tu na pogawędkę. Rób jej nadal mokre kompresy.

- Chwileczkę, potrzebuję... - Bezradnie rozglądała się dookoła.

Marc zrozumiał w lot, o co chodzi.

- Nikt nie widzi i stoisz w morzu.

- Nie będę siusiać do oceanu tuż obok ciebie i wieloryba - krzyknęła histerycznie.

- A gdzie według ciebie siusia wieloryb?

- Nie jestem wielorybem.

- Nie ma innego wyjścia, księżniczko.

- Nie nabijaj się ze mnie. Gdybyś był w takiej sytuacji...

- Godzinę temu byłem w takiej sytuacji, tyle że nie robiłem z tego wielkiej sprawy.

Pruderyjne zachowanie Beth uświadomiło mu kolejny raz, jaka przepaść ich zawsze dzieliła. Jako dziecko zupełnie się nad tym nie zastanawiał. Kiedy miał czternaście lat, ktoś życzliwy wytłumaczył mu społeczne różnice między biednym chłopcem i zamożną dziewczynką. Ale wtedy Beth była jego najlepszą przyjaciółką. Nie przeszkadzało jej, że matka Marca jeździła wiekowym samochodem, ani to, że chodził w spranych koszulkach.

Kiedy skończyły się pieniądze z polisy ubezpieczeniowej ojca i wszyscy się od niego odwrócili, obawiał się, że Beth pójdzie w ich ślady. Ale tak się nie stało. Nie od razu.

Kiedy skończył siedemnaście lat, chciał rzucić szkołę. Matce brakowało pieniędzy. No i uciec od drwin kolegów. Jego Beth chodziła z McKinleyem.

Tymczasem Beth, zanurzona do pasa w morzu, walczyła z nasiąkniętymi wodą dżinsami. Nie miała wielkich szans wyjść z całej tej opresji z zachowaniem resztek godności. Przecież bielizna dolna nie różni się tak bardzo od bikini, pomyślała zdesperowana. Tyle że ma koronki.



- Spróbuję wykopać rów - odezwał się Marc, kiedy wreszcie do niego dołączyła. -  
Jeśli uda mi się zamocować linkę holowniczą, spróbujemy zepchnąć ją głębiej do wody.

- Wytrzyma?

- Jest wystarczająco mocna, nie powinno być problemu. Podkopię się z przodu, a linkę spróbujemy wsunąć pod brzuch.

- I co dalej?

- Poczekamy na przyływ i zepchniemy ją z mielizny.

- Sami?

- Jak będziemy mieć szczęście, to dojedzie ekipa z łodzią.

- A jak nie?

- To pozostaje nadzieja, że jesteś silniejsza, niż się wydajesz.

TLR

## ROZDZIAŁ TRZECI

Silna? Nic podobnego. Długo dochodziła do siebie po rozpadzie związku z Damienem McKinleyem. Była jednak na dobrej drodze. Powoli stawała się coraz mocniejsza psychicznie. Dzięki temu starczyło jej odwagi, żeby tu przyjechać. I stanąć oko w oko z Markiem.

Teraz otrzymała bolesną nauczkę.

Marc Duncannon nie był taki, jakim go zapamiętała. Fizycznie zmienił się na korzyść, ale nie można było tego powiedzieć o jego charakterze. Może fakt, że stracił w dzieciństwie ojca, pozostawił trwałe ślady w psychice. A później - najlepszą przyjaciółkę i, z tego, co obito się jej o uszy, matkę.

- Nie powiedziałeś mi, co się stało z twoją mamą. Byliście sobie tak bliscy.
- Nie sądziłaś chyba, że w tym wieku nadal mieszkam z matką? - wycedził przez zaciśnięte zęby.
- Nie, ale jestem zaskoczona, że nie utrzymujesz z nią kontaktów.
- Widzę, że dokładnie odrobiłaś pracę domową.
- Musiałam jakoś trafić na twój ślad. Dawna sąsiadka mnie pamiętała. Nie masz żadnej rodziny poza Janice... - nie dawała za wygraną.
- Nie przekonasz mnie, że nagle polubiłaś moją matkę. Pamiętam, jak zawsze jej unikałaś.

Beth zaczerwieniła się. Kiedy dorastali, pani Duncannon stała się wroga, jakby zazdrosna o syna, aż wreszcie...

- Zaraz po szkole wyruszyłem na północ, w morze, pływałem na trawlerach. Po powrocie postanowiłem się usamodzielić. Ona wolała zostać w mieście, a ja chciałem zamieszkać na wsi. To wszystko.

Jasne. W taką bajkę nawet dziecko by nie uwierzyło, ale skoro nie chciał o tym mówić, nie nalegała...

Dziesięć lat to kawał czasu. Jedna trzecia ich życia. Kto jeszcze mógł go zranić? Może kobieta, zastanawiała się Beth. Zwróciła uwagę, że nie miał na palcu obrączki, ale bez wątplenia nosił w sobie głębokie urazy.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i w milczeniu skupiła całą uwagę na wielorybie. Nie mogła jednak znieść ciszy.

- Zadaj mi jakieś pytanie - poprosiła.

- Jakie?

- Obojętne, byle nie dotyczyło Damiena ani tego pamiętnego dnia w szkole...

- Jaki jest twój ulubiony kolor?

- Nadal zielony, w odcieniu mchu. Tak pomalowałam całe atelier.

- Masz atelier? - spytał zdumiony.

- Właściwie to częściowo odnowiony dawny magazyn taty. Chyba nie powinnam tam mieszkać. Lokalne przepisy tego zabraniają.

- Co tam robisz?

- Maluję obrazy olejne. - Te powstałe w okresie, kiedy znajdowała się na progu otchłani, były ciemne i ponure. Później zaczęła stosować jaśniejsze kolory. - W ostatniej klasie odkryłam, że uwielbiam malować. Jestem w tym dobra.

- To świetnie. Chciałbym... - nie dokończył zdania.

- Spytaj o mój pierwszy samochód.

To był bezpieczny temat. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Więc jaki był twój pierwszy samochód?

- Toyota. Kupiłam to używane pudło zaraz po szkole, za własne pieniądze. Uwielbiałam ją.

Do momentu, w którym zaczęła ostro pić i przestała jeździć.

- Pierwszy pocałunek.

- Przecież mieliśmy nie rozmawiać o tamtym dniu.

- Chwileczkę, to był twój pierwszy pocałunek?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Byłeś moim serdecznym przyjacielem. Gdybym się z kimś całowała, natychmiast bym ci zdała relację. - Nagle coś sobie uświadomiła. - Chwileczkę, ale dla ciebie to nie był pierwszy raz, prawda?

Marc spuścił oczy.

- Kto to był?

- Tasmin Major. - Wiedział, że nie da mu spokoju, dopóki się nie dowie.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - spytała ze ściśniętym gardłem. A co ważniejsze, jak mogła sama nie zauważyć, przecież wtedy byli praktycznie nierozłączni.

- Po co miałem ci mówić? Tylko się pocałowaliśmy. Nie byliśmy parą.

- Mam nadzieję. - W przeciwnym razie byłaby kompletnie ślepa na to, co się wokół niej działo. - Czemu się z nią całowałeś, jeśli nie chodziliście ze sobą?

Marc odwrócił wzrok i wpatrywał się w horyzont, byle nie patrzeć na Beth. Nie odpowiadał.

- Marc?

- Z ciekawości, jak to się robi, no i chciałem nabrać praktyki - wykrztusił wreszcie, unikając jej wzroku.

Kiedy dotarł do niej sens tych słów, poczuła skurcz żołądka i obsesyjną wręcz zazdrość.

- I do tego była ci potrzebna Tasmin? Nie mogę uwierzyć. Fajna dziewczyna, ale i mnie niczego nie brakowało.

- Oczywiście, że nie, ale byliśmy przyjaciółmi - wyjaśnił z rozbijającą szczerością.

Przypomniała sobie koleżanki z klasy, które traktowały Marca z wyższością ze względu na to, gdzie mieszkał i jak chodził ubrany. Tasmin mocno zyskała w jej oczach, ponieważ nie należała do tej grupy.

- Po co ci było doświadczenie?

- Dawne dzieje. Było, minęło. Zakończmy na tym, że wreszcie chciałem mieć za sobą pierwszy pocałunek.

- Wtedy za biblioteką byłeś bardzo namiętny. Musieliście wcześniej dużo ćwiczyć.

- Mieliśmy nie wracać do tego tematu.

- Racja. Proszę o następne pytanie.

Marc pracował bez wytchnienia przez dwie godziny. Wykopał rów w odległości jednego metra od wieloryba, posuwając się w głąb wybrzeża. Wyrzucone na brzeg drewno wykorzystał do zabezpieczenia ścian wewnętrznych przed osypującym się piaskiem. Po upalnym dniu słońce chyliło się w stronę widniejącego na linii horyzontu oceanu.

Wszystko wokół skąpane było w żółtopomarańczowym blasku. Beth starała się zapamiętać ten olśniewający widok.

Marc rozłożył linkę holowniczą i podał jeden koniec Beth. Ta, nie zważając na spierzchnięte, pokryte pęcherzami dłonie i ból pleców, przykucnęła na brzegu. Powoli przesuwali linkę po piasku w kierunku wieloryba.

Wydawało się, że plan Marca ma szanse powodzenia, choć czekało ich długie, zmudne zadanie. Każda kolejna fala przyływu zabierała ze sobą trochę piasku, a ten, co pozostał wokół wieloryba, nie był już tak zbity. Wreszcie udało się wsunąć linkę pod brzuch zwierzęcia i zapiąć wokół potężnego cielska. Przyływ nasilał się tak, że twarz Beth praktycznie dotykała powierzchni wody, mięśnie drżały ze zmęczenia. Czuła się, jakby właśnie przejechał ją czołg. Nawet głowę rozsadzał ból, gorszy niż podczas największego kaca, a to doświadczenie kiedyś nie było jej obce.

Wyprostowała się, ale nie była w stanie utrzymać równowagi. Osłabła na tyle, że nadchodząca fala przyływu powaliła ją na kolana. Po chwili musiała się podeprzeć rękoma. Nie była w stanie się podnieść. Nie miała nawet siły na zastanawianie się, jak załóżnie wygląda.

Marc znalazł się przy niej w okamgnieniu. Objął w pasie, żeby nie wpadła do wody.

- Złap mnie za szyję.

Rozplakała się. Targały nią mieszane uczucia. Złość. Wstyd. Wreszcie ulga. Dawno nie była tak blisko Marca. Wszystko nagle znalazło się na swoim miejscu. Silne męskie ramiona dawały poczucie bezpieczeństwa.

Mimo atletycznej sylwetki, kontrastującej z jej kruchą posturą, nie miała wątpliwości, że Marc też jest skrajnie wyczerpany. Jeśli miał jej pomóc, musiała współpracować.

- Spróbuj się podnieść - usłyszała szept.

- Przepraszam... - zaczęła i zawirowało jej przed oczami.

- Nie masz za co. Dzielnie się spisałaś.

Udało się jej stanąć na nogi, ale dla pewności wsparła się na ramieniu Marca. Czuła zapach morskiej soli i potu. Znacznie bardziej podniecający niż nadmiar taniego płynu po goleniu, jakim miał w zwyczaju oblewać się Damien.

Marc wyciągnął ją z wody i pomógł wyjść na suchy ląd. Jak tylko poczuła pod stopami piasek, osunęła się bezwładnie.

- Zrób przerwę, Beth. Jesteśmy na nogach od siedmiu godzin. Nic dziwnego, że opadłaś z sił - powiedział, grzebiąc w podręcznej torbie.

Po chwili wyjął dwa batony, tabliczkę czekolady, banana i jakieś opakowanie dziwnej substancji w proszku. Zaproponował, żeby ze skromnych zapasów wybrała, na co ma ochotę. Mimo głodu i zmęczenia na myśl o jedzeniu zrobiło się jej niedobrze. Myślała tylko o jednym. O piersiówce ukrytej głęboko na dnie torby, ale na skosztowanie zawartości nie mogła sobie pozwolić.

- Częstuj się.

- Nie, dziękuję.

- W porządku. - Wręczył jej tabliczkę czekolady. - To natychmiastowy zastrzyk energii i potasu, który łagodzi skurcze. Ale za godzinę musisz zjeść to. - Wskazał na sproszkowaną substancję.

- Co to?

- Odżywka dla sportowców. Trzeba tylko rozpuścić w wodzie. Potrzebujesz tłuszczu i węglowodanów, inaczej nie dojdiesz do siebie.

- Sądziłam, że facetom podobają się szczupłe kobiety.

Zamknij się, skarciła się w duchu, widząc jego minę. Była tak zmęczona, że plotła, co ślina na język przyniesie. Przed oczami cały czas majaczyła jej srebrna piersiówka. Wiedziała, że jest w torbie, i wiedziała, że nie wolno jej po nią sięgnąć.

- Ta odżywka stopniowo wyzwala energię. Pozwoli ci przetrwać kolejnych parę godzin.

Obawiam się, że nie przetrwam następnych paru minut, pomyślała.

Marc praktycznie połknął batonik. Następnie napełnił wodą opakowanie proszku, wstrząsnął i wypił.

Beth niechętnie skubała czekoladę. Tabliczka zaczynała się powoli roztopiać. Problem polegał na tym, że celowo unikała czekolady, ponieważ... za nią przepadała. W ten sposób ćwiczyła silną wolę, jednak Marc nalegał. Co robić? - zastanawiała się przez chwilę.

Odłamała kawałek. Starła się jeść bardzo powoli. Jeśli poddała się przy takim drobiazgu, czy starczy jej wytrwałości w znacznie ważniejszej sprawie?

Odruchowo spojrzała na torbę.

- Chodź. - Marc wyciągnął dłoń. - Inaczej będzie coraz gorzej. Jeśli nic nie zjesz, zostaniemy tu na noc.

- Nie dam rady...

- Beth, ona czeka. - Delikatna zachęta rozbudziła w niej ogromne poczucie winy.

Spojrzała w stronę wieloryba. Teraz, po zachodzie słońca, z pewnością było znacznie chłodniej, ale zwierzę nadal potrzebowało ich pomocy.

Beth spróbowała się podnieść. Ależ muszę niezdarnie wyglądać, przemknęło jej przez głowę. Wreszcie z pomocą Marca stanęła na nogach. Machinalnie otrzepywała piasek z nasiąkniętej wodą bluzy.

Marc dotknął jej uda z tym samym zamiarem, jednak po chwili cofnął dłoń. Beth odskoczyła jak oparzona. Zastygł w bezruchu i zmieszał się.

- Wracamy do wody - powiedział, prostując się.

Beth podążała z wysiłkiem za nim. Chociaż czuła się fatalnie, miała świadomość, że posunęli się do przodu. Wieloryb nadal żył, skórę miał w miarę nawodnioną i udało się częściowo zepchnąć go z mielizny.

Jasne, że panowała między nimi atmosfera pełna elektryzującego napięcia. Jasne, że wolałyby w tej chwili rozsiąść się na kanapie przy kominku i oglądać powtórkę *Dumy i uprzedzenia*. Ale powoli odzyskiwała energię, woda i czekolada zrobiły swoje. Mogłoby być znacznie gorzej, pomyślała, patrząc na znikające za horyzontem słońce.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Po kilku godzinach, gdy księżyc był już wysoko na niebie, Beth ponownie zaryzykowała rozmowę. Właśnie wlała ostanie krople wody pitnej do sproszkowanej odżywki. Nie miała wyjścia, Marc nalegał, żeby się wzmocniła, a teraz dokładnie obserwował każdy jej ruch. Prawie się zachłysnęła, kiedy piła gęsty płyn o bananowym smaku.

Długo pracowali w milczeniu, dlatego miała okazję dokładnie przeanalizować wszystko, co się zdarzyło poprzedniego popołudnia i wieczoru. W którymś momencie Marc przestał tak bardzo mieć się na baczności, że prawie jej dotknął.

Była na tyle żałosna i bezradna, że prawdopodobnie zaczął się nad nią litować. To i tak nic w porównaniu z upokorzeniami, jakich doznała w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Pewnie odczuwałby ogromną satysfakcję, gdyby się tylko dowiedział.

W zamyśleniu przygryzła wargi. Może opowiedzieć mu, ile wycierpiałam? - zastanawiała się. Ciekawe, w jaki sposób by zareagował. Trudno powiedzieć. Marc był kompletną zagadką.

- Nigdy w życiu nie miałam w ustach nic bardziej obrzydliwego - odezwała się, wchodząc z powrotem do wody.

- Można się przyzwyczaić - odparł z lekkim uśmiechem.

Ruchem głowy wskazała nieruchomy cień na piasku.

- Naprawdę sądzisz, że to jej dziecko?

- Najprawdopodobniej.

- Nie przeżyło, bo było za młode?

- Nie, po prostu niektóre wieloryby są w stanie przetrwać w takiej sytuacji wiele dni, inne tylko kilka godzin. Tak jak ludzie, są bardziej i mniej odporne.

Beth posmutniała. W pełni identyfikowała się ze zwierzęciem, które okazało się słabsze, niż mogło się wydawać.

- Biedne maleństwo.

- Nie masz dzieci z McKinleyem?



Ból, jaki sprawiło to pytanie, zaskoczył samą Beth, Odwróciła twarz, koncentrując się na przemywaniu okolicy oka wieloryba. W końcu dotarło do niej, że morskemu zwierzęciu nie zaszkodzi, jeśli parę kropli słonej wody wpadnie pod powiekę.

- Nie. Żadnych dzieci - ucięła krótko.

- Nie chciałaś?

Nie zasługiwałam. No i żadne dziecko nie zasługuje na taki los, na taką rodzinę, jaką tworzyli z Damienem.

- Nie za bardzo.

- Zabawne.

- Co cię tak bawi?

- Zawsze wyobrażałem sobie ciebie w roli matki. W głębi duszy podejrzewałem, że dlatego tak młodo wyszłaś za męża. Wydawało mi się, że McKinley nalegał na założenie rodziny.

- Damienowi zupełnie nie zależało na rodzinie. - Zresztą na niczym innym też nie.

Tylko alkohol był ważny. Kiedy przestało się im układać, Beth rozważała możliwość powiększenia rodziny. Dziecko mogłoby ich do siebie zbliżyć. Ale w związku było gorzej i gorzej. Wtedy w sekrecie podjęła decyzję, że nigdy z nim nie zajdzie w ciążę. Nawet w stanie największego upojenia alkoholowego pamiętała o zażyciu środków antykoncepcyjnych, choć na tym etapie wspólnego życia rzadko bywały potrzebne.

- Czym się zajmowałaś zawodowo? - spytał od niechcienia.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Wprawdzie miała zupełnie przyzwoitą pracę, ale zapewne nie zrobiła takiej kariery, jak sobie wyobrażał.

- Pracowałam w handlu detalicznym - poczuła, jak się rumieni, próbując przedstawić w lepszym świetle pracę w pralni chemicznej. - W dziale obsługi klienta.

- Nie poszłaś na studia?

Kolejny cel życiowy, który utonął w morzu alkoholu.

- Nie - odparła krótko.

Zastygł w bezruchu i spojrzał na nią uważnie.

- Damien był przeciwny mojej pracy zawodowej. - Jak nisko musiała upaść, skoro łatwiej było przyznać się do tego, niż do faktu, że alkohol pogrzebał marzenia o karierze.

- Ale pozwolił ci pracować w handlu?

- To była moja decyzja. Chciałam mieć coś, co należałoby tylko do mnie. Nie pochodziło od Damiena ani jego rodziny. - I miała, dopóki nałóg nie stał się ważniejszy od pracy.

- Marzyłaś o studiach.

Przez trzy lata to było wspólne marzenie. Cel, który jeszcze bardziej łączył. Do pamiętnej rozmowy z jego matką, kiedy wszystko zmieniło się nieodwracalnie.

- Wciągasz go w przepaść fantazji, Beth - szepnęła jej do ucha Pani Duncannon. Głos matki Marca brzmiał złowieszczo. - On nie jest tak uzdolniony jak ty. Nie poradzi sobie na studiach. Powinien jak najszybciej znaleźć pracę i zacząć zarabiać na życie.

Beth była niemile zaskoczona tymi słowami. Jak można tak mówić o chłopaku, który po szkole pracował w restauracji serwującej hamburgery, żeby wspomóc domowy budżet. Przygotował całą listę interesujących go uczelni, no i świetnie się uczył. Miał konkretne plany życiowe i wiele samozaparca, żeby je zrealizować. Ale pani Duncannon nie przyjmowała do wiadomości argumentów Beth.

- Dopóki jest z tobą, nie będzie w stanie wybrać własnej drogi życiowej. Traktujesz go jak zabawkę. Dla ciebie skoczyłby do ognia, Beth. Myślę, że któregoś dnia poprosisz go o to, żeby się przekonać.

Po tej rozmowie nigdy więcej nie odwiedzała Marca w domu. Miała przed oczami ponury obraz ich przyjaźni nakreślony przez matkę Marca. Zaczęła się głęboko zastanawiać nad sensem ich relacji i nad sobą. Wreszcie zwróciła się do swojej matki. Carol Hughes ostrożnie dobierała słowa, ale smutny wyraz twarzy znaczył więcej niż odpowiedź.

Obie panie uważały, że nie miała dobrego wpływu na Marca. Obie pragnęły rozluźnienia więzów serdecznej przyjaźni. Dla jego dobra. Patrzyła teraz na pewnego siebie mężczyznę i zastanawiała się, jak ktokolwiek mógł wątpić, że potrafił bronić własnego zdania. Nawet jako nastolatek.

Ironia losu! I pani Duncannon, i jej matka widziały rzeczywistość w krzywym zwierciadle. To Beth poszłaby za Markiem na koniec świata, gdyby tylko o to poprosił. Ufała mu bezgranicznie, uważała, że stanowią jedność. Nie myślała o studiowaniu biologii, dopóki Marc o tym nie wspomniał. Zapaliła się do jego planów, bo nie miała własne-

go pomysłu na życie. Aż pewnego dnia przecięła więzy przyjaźni i dopiero wtedy dotarło do niej, że nie miała wygórowanych ambicji. Wzruszyła lekko ramionami.

- Zmieniłam plany. Wspominałeś, że po skończeniu szkoły przeniosłeś się na północ.

- Straciłem... zapal do dalszej nauki.

- Z mojego powodu?

- Dorosły człowiek ponosi odpowiedzialność za swoje czyny. Przestań się obwiniać.

- Zmieniłeś zdanie, więc czemu się dziwisz, że ja zrobiłam dokładnie to samo?

- Bo... - Marc przymrużył oczy. - Bo ty, to ty. Mogłaś osiągnąć wszystko, o czym marzyłaś. Świat stał przed tobą otworem.

Zapadła głęboka cisza; od czasu do czasu przerywana pluskiem wody.

- Dlaczego wybrałaś właśnie McKinleya? - spytał Marc ledwie słyszalnym szeptem.

A więc dalej uważał, że to z powodu Damiena. Jak mogło być inaczej, przecież sama usiłowała mu to kiedyś wmówić. W rzeczywistości musiała znaleźć pretekst, a Damien był tylko narzędziem.

- Był w porządku... - Przynajmniej na początku. - Niewiele wiedzieliśmy o życiu.

Serce waliło jej mocno w piersi. Zastanawiała się, dokąd prowadzi ta rozmowa. Co Marc sobie pomyśli. Co powie. Ciężko było dalej udawać. Oblizła spierzchnięte, słone od morskiej wody wargi. Oczyma duszy ujrzała oszronioną butelkę tequili i wzdrygnęła się.

Pokiwał głową.

- Nie byłaś głupią gąską, Beth. Byłaś dojrzała i bardziej inteligentna od dziewczyn w twoim wieku.

Z przykrością zauważyła, że użył czasu przeszłego. Na próżno starała się pocieszać, że niuanse gramatyczne nie mają większego znaczenia.

- Przy całej klasie zabiegał o moje względy, to mi imponowało. - No i chciałam, żeby z nim było tak, jak z tobą.

Marc wyglądał, jakby się głęboko nad czymś zastanawiał.

- To tłumaczy, dlaczego chodziłaś z McKinleyem, ale dalej nie rozumiem, czemu wyszłaś za niego za mąż - powiedział, bacznie obserwując Beth.

To samo pytanie zadawała sobie od dziesięciu lat. Jeszcze zanim zaczęło się źle układać. Spojrzała w ciemność, szukając odpowiedzi.

Damien miał dwie twarze. W szkole był prymusem. Rodzice nie szczędzili wysiłku, żeby osiągał sukcesy w każdej dziedzinie i szybko wydorósł. Korepetycje, świetne wyniki sportowe, wino serwowane do obiadu. Ale tak naprawdę był tylko niezrównoważonym nastolatkiem. Kiedy zgodziła się z nim spotykać, oczekiwał, że będzie mu we wszystkim ustępować.

Oczekiwał? To zbyt łagodnie powiedziane. Były mąż traktował ją praktycznie jak swoją własność. Niespodziewanie napłynęła fala wspomnień. Przypomniała sobie desperację, z jaką starała się wymazać z pamięci pierwszy pocałunek z Markiem. Jak bardzo chciała wierzyć, że Damien też potrafi tak całować. Jak szybko przekonała się, że jest inaczej. Jak pozostawiała Damienowi ogromny margines swobody, powodowana wyrzutami sumienia po tym, jak całowała się z Markiem.

Damien reagował, jakby to wszystko mu się należało.

- Wzięłam ślub, ponieważ się z nim przespałam - wyjaśniła beznamiętnym tonem. - A on się oświadczył, więc wtedy nie widziałam powodu, żeby postąpić inaczej.

A przede wszystkim, nie zdawała sobie sprawy, co w nim drzemie.

Po incydencie za biblioteką Marc uszanował prośbę i więcej się do niej nie odezwał. Bardzo jej go brakowało, ale w ten sposób łatwiej było zapomnieć.

Nie na wiele się zdało przekonanie, że postąpiła tak dla jego dobra. Nie pomagały ukoić bólu pochwały rodziców. Długo tęskniła. Dopiero po jakimś czasie zwyciężyła, jak bywa w tym wieku, pamięć wybiórcza.

- Więc poszłaś z nim do łóżka, ale nie musiałaś od razu brać ślubu.

Uśmiechnęła się smutno.

- Zawsze byłam gotowa ponosić konsekwencje swojego postępowania. Możesz o mnie myśleć, co chcesz, to się nie zmieniło. Sprzeniewierzyłam się wartościom, które wpoili mi rodzice i wiara.

Marc pokiwał głową.

- McKinley to zimny drań. Byłem zaskoczony, że się z tobą ożenił. Spodziewałem się, że przestanie mu zależeć, kiedy... - zamilkł, uznając, że posunął się za daleko.

- Osiągnie to, na czym mu zależy - skończyła za niego. - Nie krępuj się, wszyscy tak mówili - dodała, udając, że nie sprawił jej przykrości. - Nie zamierzałam przespać się z nim, ale gdy już tak się stało... zaczęłam szybko się uczyć. Dla niego to też był pierwszy raz.

Przez ponad rok wypierała ze świadomości pierwsze młodzieńcze uczucie do Marca i bała się go dotknąć, a poszła do łóżka z chłopakiem, który fizycznie był jej zupełnie obojętny.

Może właśnie dlatego.

- Tak łatwo podjęliście ważną życiową decyzję?

- Oboje byliśmy niedoświadczeni, ale Damien nadrabiał zaległości w kolejnych latach. Szybko zorientował się, że inne kobiety mogą być świetne w łóżku. Lepsze ode mnie, tylko trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać. Wtedy przestałam dla niego istnieć.

No i nie omieszkał mnie o tym poinformować.

- Więc odeszłaś od niego.

- Jeszcze nie wtedy. Dopiero dwa lata temu.

Marc spojrzał z niedowierzaniem.

- Chyba żartujesz?

- Traktowałam złożoną przysięgę bardzo poważnie. Byłam zdecydowana za wszelką cenę ratować małżeństwo. Długo wierzyłam, że dorośnie do roli męża.

No i nie chciała kompromitować się więcej w oczach rodziny i przyjaciół. Tak płynęły lata. Puste, bezsensowne, pozbawione uczucia.

Nie zamierzała więcej mówić na ten temat. Z pewnością nie Marcowi. Co innego otworzyć się przed zupełnie obcymi ludźmi, a co innego przed dawnym najlepszym przyjacielem.

- Beth - jęknął.

Uśmiechnęła się gorzko.

- Sądziłam, że po wysłuchaniu tej opowieści odczujesz satysfakcję.

- Na początku byłem wściekły że dla tego idioty poświęciłaś naszą przyjaźń. Ale nigdy nie życzyłem ci źle. - Spojrzał w bok, unikając jej wzroku. - Zasługiwałaś na więcej.

Wyprostowała się. Nie chciała litości.

- Uważam, że dostałam nauczkę na własne życzenie.

- Znosiłaś to wszystko latami? To chyba lekka przesada?

- Do pewnych decyzji trzeba dojrzeć - podsumowała rozmowę. - A ty co porabiałeś w tym czasie? - spytała, zmieniając temat.

- Trzymałem się w cieniu.

Jakby zapadł się pod ziemię. Wszelki słuch o nim zaginął, pomyślała.

- Szczęśliwym trafem zaraz po maturze wyjechałem na północ. Tam każde ręce do pracy były na wagę złota. Wkrótce zbiłem fortunę, przynajmniej jak na osiemnastolatka. Już po roku kupiłem starą łódkę i elegancko ją odnowiłem. W tej chwili mam trzy.

- Więc dobrze ci się wiedzie, chociaż nie poszedłeś na studia - powiedziała z wyraźną ulgą.

Uśmiechnął się ironicznie.

- Zastanawiam się, którą pozycję zajmuję na twojej liście.

Lista osób, które kiedyś skrzywdziła, a teraz próbowała to naprawić. Jeśli miała zrealizować do końca plan, to nadszedł moment szczerości. Wytrzymała jego badawcze spojrzenie.

- Jesteś w pierwszej połowie. - Zacisnęła mocno pięści, aż paznokcie wbiły się w ciało. - Na jednej z górnych pozycji.

- Na serio prowadzisz taką listę? - spytał z niedowierzaniem.

Skinęła głową.

- Po co?

Poczuła się kompletnie zbita z tropu. Nie przewidziała takiego pytania.

- Żeby ćwiczyć silną wolę.

- A dokładnie, na którym miejscu mnie umieściłaś?

- Jesteś numerem jeden - wykrztusiła.

Niełatwo było zaskoczyć Marca Duncannona, ale jej się to udało. Przez dłuższą chwilę nie mógł zebrać myśli.

- To mnie pierwszego postanowiłaś odszukać?

Potrząsnęła głową, a ociekające słoną wodą pasma włosów opadły jej na twarz, tworząc rodzaj zasłony.

- Nie, ciebie zostawiłam na koniec.

- Przecież przed chwilą powiedziałaś...

- Tak, na szczycie listy, ale jako najtrudniejszy przypadek.

Zastanawiał się, czy dobrze zrozumiał znaczenie tych słów. Wydawało mu się, że nawet wieloryb wstrzymał z wrażenia oddech. Ogarnęła go fala emocji. Nadzieja, żal, gniew, wreszcie pustka.

- Przez cały ten czas pielęgnowałaś wspomnienia?

- A ty nie?

Spojrzał w bok, unikając jej wzroku.

- Nie - odparł po dłuższej chwili. - Daj spokój, byliśmy wtedy dziećmi.

Obojętność, z jaką wypowiedział te słowa, była porażająca. Jakby legła nagle w gruzach jedyna sprawa, jaka miała dla niej kiedykolwiek znaczenie. Latami dręczyło ją poczucie winy i żalu, a on tak szybko zapomniał.

- Naprawdę nasza przyjaźń była dla ciebie tylko epizodem z młodości?

- A co chciałabyś usłyszeć? W tamtym momencie bolało, i to bardzo, ale wszystko się jakoś ułożyło. Życie musi się toczyć dalej.

Obserwowała twarz Marca. Może Janice miała rację? - pomyślała. Zerwali wszelkie kontakty i Marcowi powiodło się, chociaż nie zrealizował wcześniejszych planów. Z drugiej strony ilu dawnych kolegów robiło w życiu to, o czym kiedyś marzyli? Podczas gdy ona rozpamiętywała przeszłość, Marc szybko się usamodzielił.

Więc to całe cierpienie nie miało najmniejszego sensu...

- Beth?

Odwróciła się, odrzucając ze złością wilgotny ręcznik.

Skierowała kroki do wody. Przed sobą widziała tylko ciemność, jedyne miejsce, w którym chciała teraz być. Potrzebowała wypłakać się w samotności.

- Beth!

Nie reagowała. Niech zobaczy, że i jej zupełnie na nim nie zależy. Ale nie potrafiła udawać. Kiedy woda sięgała powyżej kolan, zatrzymała się.

- Wyjdź z wody - krzyczał.

- Dlaczego?

- Tu przyplývają rekiny, a teraz może je jeszcze zwabić zapach martwego wieloryba. Nocą ocean jest bardzo niebezpieczny.

Instykt samozachowawczy wziął górę nad urażoną ambicją. Pędem wybiegła na brzeg. Marc więcej się nie odezwał. Szła kilka minut w głąb plaży. Dotarła do miejsca, gdzie było wystarczająco ciemno. Tu poczuła się bezpiecznie. Nie zagrażały jej rekiny, a Marc nie mógł zobaczyć łez. Opadła na piasek, jak balonik, z którego wypuszczono powietrze.

Doświadczyła w życiu dwóch przełomowych momentów. Raz koło szkolnej biblioteki i osiem lat później. Oba były związane z Markiem.

Starala się głęboko oddychać i to przynosiło ulgę w cierpieniu. Zanurzyła stopy w piasku, który nie zdążył jeszcze zupełnie ostygnąć po upalnym dniu. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest gdzie indziej, chociaż nie wiedziała dokładnie gdzie. Szukała zapomnienia.

Jeszcze niedawno osiągała taki stan w zupełnie inny sposób. Odurzony alkoholem umysł był obojętny na wszelkie emocje, a w ciągu ośmiu lat rzadko kiedy była trzeźwa.

W pierwszych miesiącach małżeństwa starała się ignorować pijackie wybryki Damiena, dopóki nie zaczął uciekać się do rękoczynów. Jego ataki stawały się jednak coraz trudniejsze do przewidzenia. Szybko zaczęła podążać za nim w przepaść alkoholizmu, gdzie on czuł się szczęśliwy, a ona bezpieczna.

Odrzucała oferowaną pomoc przyjaciół i rodziców. Wielokrotnie zapewniała ich, że wszystko w porządku, aż wreszcie przestali pytać.

Kiedy wreszcie do bliskich dotarło, że dzieje się źle, było za późno. Beth od dawna była już uzależniona od alkoholu.

Któregoś dnia obudziła się z koszmarnym bólem głowy w pustym łóżku. Rozejrzała się po pokoju, gdzie zupełnie obcy ludzie odsypiali na dywanie wieczorną libację. I



właśnie wtedy uświadomiła sobie swój problem. Z brutalną wyrazistością dotarło do niej, że inni tylko odwracają oczy. Udają, że nie wiedzą.

Bez konkretnej przyczyny tego ranka pomyślała o Marcu. O przyjacielu, który w nią wierzył, z którym spędziła dzieciństwo i młodość, a którego później całkowicie wyparła z pamięci.

Długo stała pod zimnym prysznicem, a łzy spływały jej po twarzy.

Ale prawdziwy zimny prysznic dopiero miał przyjść. Samotna, w magazynie, który kiedyś należał do ojca, próbowała zerwać z nałogiem.

Przy życiu trzymało ją malowanie. Obrazy przedstawiające przerażające wizje, utrzymane w mrocznych barwach. Huśtawka nastrojów; wzloty, kiedy udało się przez kilka dni nie pić, i bolesne upadki, kiedy sięgała po butelkę.

Wreszcie któregoś wieczoru, zataczając się, wtargnęła na spotkanie AA. Znalazła się w pokoju pełnym cudem ocalonych rozbitków życiowych, którzy zaoferowali jej zrozumienie i pokazali światelko w tunelu. Bez osądzania i potępienia.

To oni uratowali jej życie.

Zanim stworzyła listę, która tak zaskoczyła Marca, jego imię pomogło jej przetrwać. Traktowała je jak symbol dobra. Przełomowego dnia, po wyjściu spod prysznicza, napisała je na skrawku papieru i odtąd zawsze nosiła przy sobie w portfelu. Zastępowało fotografie, które kiedyś podarła w napadzie pijackiej furii, bo patrzenie na jego podobieństwo było zbyt bolesne.

Nie spodziewała się, że spotkanie twarzą w twarz będzie łatwe, ale nie przyszło jej do głowy, że wymazał ją zupełnie z pamięci i z serca. Teraz zaczynała wątpić, czy kiedykolwiek zajmowała tam poczesne miejsce.

- Beth, pozwól. Potrzebuję pomocy - dobiegł z ciemności głos.

Z samego tonu wywnioskowała, że sytuacja jest krytyczna. Zbyt obolała i zmęczona, żeby biec, słaniając się na nogach, ruszyła w kierunku brzegu.

Wieloryb rzucał się gwałtownie w płytkiej wodzie, ogromne cielsko wykręcały konwulsje. Gwałtownie wymachiwał ogonem, na którym widniała głęboka rana w kształcie strzały.

- Kona? - krzyknęła Beth.

- Poczula, że nadchodzi przypływ. Usiłuje dostać się na głęboką wodę. Musimy natychmiast działać.

- Chyba żartujesz. - Przecież to oszalałe zwierzę ważyło jakieś pół tony.

Kiedy samica leżała nieruchomo, mogli liczyć na łut szczęścia, ale teraz...

- Sama sobie nie poradzi. Nie wydostanie się z mielizny. Musimy jej pomóc.

Marc wymachiwał liną zakończoną pętlą, starając się złapać uchwyt rozciągliwego pasa, który wcześniej udało im się wsunąć pod brzuch wieloryba. Za każdym razem, kiedy wydawało się już, że dobrze trafił, zwierzę wykonywało gwałtowny ruch i wszystko zaczynało się od nowa.

Wreszcie pewnym krokiem zbliżył się do wieloryba, zanurzył rękę w wodzie i szybko odskoczył, ciągnąc w dłoniach elastyczny pas. Bez najmniejszego trudu przeciągnął pół liny przez zaczep. Cała procedura nie trwała dłużej niż kilka sekund. Trzymając jeden koniec liny, drugi przerzucił w kierunku Beth. Sznur poszybował nad wielorybem i z pluskiem wpadł do wody.

Zwierzę uspokoiło się, jakby zrozumiało, że potrzebuje pomocy. Beth po omacku usiłowała powtórzyć to, co Marcowi udało się osiągnąć jednym ruchem. Trzy desperackie próby zakończyły się niepowodzeniem. Była przemoczona do suchej nitki. Krople słonej wody wżerały się w oczy, ale wmawiała sobie, że to tylko chwilowa niewygodność. Nic wielkiego w porównaniu z cierpieniem wieloryba.

Za czwartym razem udało się. Trzymając mocno jedną ręką pas, drugą złapała koniec liny i przewlekła przez uchwyt.

Oboje odsunęli się od wieloryba, naciągając linę, co spowodowało zaciśnięcie pasa wokół brzucha olbrzyma.

- Musimy podejść od tyłu, tylko w ten sposób mogę zacisnąć pas po bokach.

- Od tyłu? A rana na ogonie... - Spojrzała na niego oczami okrągłymi z przerażenia.

- Wiem. Ale rekiny nie są głupie. Miejmy nadzieję, że bardziej je zainteresuje ciało młodego niż ogon jego matki.

- A jeśli nie? - przemknęło jej przez głowę.

Na samą myśl poczuła dreszcz przerażenia.

- Nie mamy wyboru - zawołał, usiłując przekrzyczeć szum fal i odgłosy walczącego z własną bezsilnością wieloryba.

- Z każdej sytuacji są dwa wyjścia - krzyknęła równie głośno. Taką lekcję wyniosła ze spotkań AA. Mogli odejść i zostawić wieloryba na łasce natury.

Natychmiast zrozumiał, w jakim kierunku podążyły jej myśli.

- Mogłabyś się teraz wycofać? Bo ja nie.

- Ty będziesz ciągnąć, stojąc na brzegu, a ja z wody - zdecydowała.

- Mam przyglądać się, jak cię pożerają rekiny?

Zacisnęła mocno zęby i weszła głębiej. Woda sięgała jej do pasa. Przyływ adrenaliny przytłumił zmęczenie. Stali obok siebie, mocno trzymając linę.

- Gotowa? Na trzy...

Zaparła się i praktycznie uwiesiła na końcu liny. Marc zrobił to samo i od razu widoczne były efekty. Lina tak się napięła, że wirując nad powierzchnią wody, wydała charakterystyczny piskliwy dźwięk.

- Poczekaj - zawołała Beth. Napięta lina przecinała jej i tak już spękaną skórę dłoni. Ból był nie do zniesienia.

Marc na chwilę poluzował linę, a Beth szybko ściągnęła przemoczoną bluzę i owinęła nią dłonie. Była gotowa do dalszego działania.

- Raz, dwa, trzy - zawołała.

Ciągnęli linę ze wszystkich sił, wspomagając wysiłki wieloryba.

- Poszedł do przodu - zawołała entuzjastycznie, jakby Marc mógł tego nie zauważyć. Po trzynastu godzinach na mieliźnie, pomyślała.

Kolejna fala adrenaliny napełniła ją taką siłą, o jaką nigdy by się nie podejrzewała. Ciągnęła linę, wchodząc coraz głębiej. Nawet nie zauważyła, że woda sięgała jej ramion. Marc stał obok.

Wieloryb nagle się obrócił, ustawiając bokiem do plaży. Ogon i drugi bok zwierzęcia znalazły się w wodzie. Marc i Beth też zmienili pozycje. Teraz byli jeszcze bardziej narażeni na atak rekinów.

Działali powoli, systematycznie, z ogromnym wysiłkiem. I nagle...

- Beth, na brzeg!

Marc wypuścił z rąk koniec liny, uciekając przed oszalałym wielorybem. Ciągnął za sobą Beth, której nogi nagle odmówiły posłuszeństwa.

Wieloryb rzucał się i miotał, zmieniając płytki brzeg morza we wzburzony wodospad. Lina wysunęła się z uchwytów, wydając charakterystyczny dźwięk, a linka holownicza opadła na dno. Wieloryb odzyskał wolność, zanim Beth zdążyła złapać oddech. Przez chwilę widoczne były zarysy zanurzonego do połowy w wodzie zwierzęcia, aż wreszcie znikło pod powierzchnią.

Widząc to, Beth krzyczała z radości jakieś niezrozumiałe słowa. Marca ogarnęła euforia. Wziął Beth na ręce, chcąc jak najszybciej wydostać się na brzeg. Ale i jego wreszcie opuściły siły. Potknął się i oboje wylądowali w wodzie.

Nie próbowała ukryć łez. Nie wiedziała, czy płacze z radości, czy z wycieńczenia i bólu. Czowała się jak przekłuty balonik.

Marc usiadł w płytkiej wodzie, przyciągając do siebie półprzytomną Beth. Ta mimowolnie oparła się na jego ramieniu.

- Udało się, udało się - powtarzał, jakby sam w to jeszcze nie wierzył.

Delikatnie gładził jej ociekające wodą włosy. Beth przytuliła się do niego jeszcze mocniej, czując, że jest na właściwym miejscu. Po wielu latach znowu byli blisko siebie. Nic dobrego z tego nie wyniknie, pomyślała. Nie była jednak w stanie zrobić żadnego ruchu. Ogarnęła ją fala wspomnień z dzieciństwa, kiedy dotyk był czymś zupełnie naturalnym, niewinnym. Później dotyk nastolatków badających granice, których przyjaciółom nie wolno przekroczyć.

I wreszcie piękny wiosenny dzień, odludne miejsce za szkolną biblioteką. Tam Marc pocałował ją po raz pierwszy i ostatni. Wtedy, tak jak dzisiaj, w jego ramionach czuła się na swoim miejscu.

Krople słonej wody spływające po plecach przywołały ją do rzeczywistości. To działo się całe wieki temu. Zanim go odrzuciła, zanim uzależniła się od alkoholu.

Przestało mu zależeć, przypomniała sobie. Wyprostowała się i wysunęła z jego objęć. Próbował ją lekko przytrzymać.

- Rany, bardzo mi ciebie brakowało, Beth.

Słyszając te proste słowa, wypowiedziane ledwie słyszalnym szeptem, odruchowo położyła mu głowę na ramieniu i zarzuciła ręce na szyję.

Spleceni w uścisku, przemoczeni i trzęsący się z zimna, pozostali przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- Dobrze, że byłeś przy mnie, sama bym sobie tu nie poradziła.

- To przeze mnie się tu znalazłaś - odparł, tłumiąc śmiech.

- Mogłabym powiedzieć to samo.

Ciekawe, jak potoczyłoby się życie, gdyby go nie odrzuciła. Pewnie poszedłby na studia, zamiast wynajmować turystom łódzie.

- Jest, jak jest, Beth. Na pewne sprawy nie mamy wpływu.

- Dlaczego? - Westchnęła. - Kto tak urządził świat, że nic od nas nie zależy?

- Nie to miałem na myśli. Niektóre wydarzenia pozostają poza kontrolą. Nie można się o wszystko obwiniać.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, właśnie przyjąłeś moje przeprosiny - szepnęła, mocniej tuląc policzek do jego ramienia.

Wyczuła, jak nagle zeszytywniał. Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na reakcję.

- Byliśmy młodzi. Każde z nas popełniało błędy, których później żałowało.

- A czego ty żałowałeś? - spytała, nie kryjąc zaskoczenia.

- Wielu rzeczy.

- Żałujesz, że mnie pocałowałeś?

- Raczej tego, w jaki sposób.

Rozumiała, o co mu chodzi. Tyle że ona już wtedy oczekiwała, żeby zrobił pierwszy krok, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy.

- A jak chciałbyś mnie pocałować? - spytała bez namysłu.

- Nie masz prawa zadawać takiego pytania.

- Dlaczego?

- Przypomnij sobie swoje słowa.

- Byłam zdenerwowana, miałam mętlik w głowie. Poza tym nie sądziłam, że potraktujesz to na poważnie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Bo... - Ależ namieszałam. Jak się z tego wyplątać? - zastanawiała się. - Bo całowaliśmy się. To wytrąciło mnie z równowagi.

- Bo było ci fajnie, czy wręcz przeciwnie?

Beth miała wiele wad, ale nie umiała kłamać. Posiadała natomiast przydatną umiejętność udzielania wymijających odpowiedzi i krążenia wokół tematu.

- Mam ci wystawić laurkę?

- Czy wyglądam na kogoś, komu brak pewności siebie?

- Nie, i nigdy nie wyglądałaś.

- Beth, naprawdę chciałbym wiedzieć. Jeśli ten pocałunek był dla ciebie wstrętny, to i ja przyczyniłem się do zniszczenia naszej przyjaźni.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i wytrzymała jego spojrzenie.

- Nie był wstrętny.

Gdyby ta wymiana zdań miała miejsce na ekranie, z pewnością przypieczętowałyby ją namiętny pocałunek. Tego domagałby się producent. Noc nad brzegiem oceanu, przemarznięta para, chwila intymnych zwierzeń w blasku księżyca. Tymczasem tu i teraz Marc przygarnął do siebie Beth, przytulił policzek do mokrych włosów i szepnął:

- Dzięki. Prześladowała mnie myśl, że to ja zadałem śmiertelny cios naszej przyjaźni.

To mnie przypadł ten wątpliwy zaszczyt, odparła w duchu. Myśli kłębiły się jej w głowie. Zaraz, zaraz, to znaczy, że tak szybko nie zapomniał. Mimo wszystko nadzieja, że teraz ją pocałuje, była naiwnością. Musiała być bardzo spragniona czułości, skoro wyobraziła sobie tak mało prawdopodobną sytuację.

Czas oswobodzić się z jego objęć, przemknęło jej przez głowę. Okazało się, że łatwiej było pomyśleć, niż zrobić. Skulona w embrionalnej pozycji, nie miała siły się podnieść.

- Spokojnie, Beth. Musisz stopniowo rozruszać mięśnie, inaczej będziesz miała zakwasy.

Walcząc z bólem pleców, usiłowała stanąć na nogach. Z trudem łąpała powietrze.

- I jeszcze jedno... - Nie dokończył, gorące wargi niespodziewanie znalazły się na ustach Beth. Dłonie odgarniały z twarzy mokre kosmyki włosów.

Czuły, delikatny pocałunek jakby tchnął w nią nowe życie. Ogarnęła ją fala tłumionego latami pożądania. Tak smakuje przebaczenie, pomyślała z ulgą.

- Gdybym dostał drugą szansę, właśnie tak chciałbym cię całować - szepnął.

Beth nie zastanawiała się nad sensem słów. Pragnęła, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła. Całowała się z nieznajomym, a jednocześnie z najlepszym przyjacielem. Z mężczyzną, który wiedział o niej wszystko, a jednocześnie nie wiedział nic.

W tym momencie Marc nagle odwrócił głowę i odepchnął ją. Pełna niedowierzania, wylądowała na czworakach w wodzie.

Nie wiedziała, czy bardziej cierpi z bólu, czy z upokorzenia.

Ależ żałośnie wyglądał w jego oczach, pomyślała.

Tyle że Marc, zrywając się na równe nogi, wcale nie patrzył na nią. Podążając za jego wzrokiem, ujrzała ciemny kształt na brzegu, tuż koło martwego młodego wieloryba.

- Znowu wróciła na mieliznę - zawołał, wyciągając rękę do Beth.

- Nie mam siły. Daj mi jeszcze chwilę.

Nie nalegał. To było kiedyś podstawą ich przyjaźni. Nikt nigdy nie szanował jej niezależności tak, jak robił to Marc. W ten sposób również okazywał, że bezgranicznie w nią wierzy.

Patrząc, jak Marc biegnie brzegiem morza do miotającego się wieloryba, wiedziała, że zaraz musi do niego dołączyć.

To była wspólna sprawa. Nie mogła zawieść jego zaufania po raz drugi.

Prostując się, krzyczała z bólu, a łzy spływały jej po twarzy. Po chwili ruszyła szybkim krokiem. Wspomnienie czułego pocałunku dodawało jej siły.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie odzywali się do siebie przez ponad godzinę. Nie dlatego, że byli na siebie źli. Nie ze względu na pocałunek, który mógł ich postawić w niezręcznej sytuacji, a zdarzył się jak coś zupełnie naturalnego. Nawet nie dlatego, że byli załamani, bo ich nadludzki wysiłek poszedł na marne. Znowu skupili całą uwagę na akcji ratunkowej. Niekończące się, powtarzalne ruchy. Moczenie szmaty i przykładanie do wysuszonej skóry wieloryba. Następny wilgotny kompres i następny, i następny.

Samica wieloryba cały czas obserwowała swoje młode. Marc zastanawiał się, czy ma świadomość, że jest martwe.

- Czemu ciągle osiadają na mieliźnie? - spytała Beth.

- Dokładnie nie wiadomo. - Marc wzruszył ramionami.

- Nie mają instynktu samozachowawczego?

- Sądzę, że mają.

- Więc nie widzą ładu?

- Według niektórych teorii fale elektromagnetyczne zaburzają ich poczucie orientacji. Inni twierdzą, że wstrząsy podwodne są zgubne dla zmysłu słuchu, a to z kolei powoduje, że nie są w stanie odnaleźć drogi i gubią się.

- A ty jak uważasz?

- Nie mam pojęcia. Wiem jedno. Całe stada giną w ten sposób.

- Ja myślę, że wróciła do dziecka - zauważyła po dłuższym namyśle, gładząc chłodną skórę wieloryba.

- Bardzo możliwe. Wiele razy obserwowałem samice bawiące się w wodzie z potomstwem. Wydaje się, że mają silnie rozwinięty instynkt macierzyński.

- Pewnie wypłynęła, żeby się pożegnać - podsumowała melancholijnie Beth.

Obróciła głowę, żeby ulżyć napiętym mięśniom. Spojrzała w niebo. Marc podążył za jej spojrzeniem. Mimo cierpienia i śmierci, których był świadkiem, dotarło do niego piękno australijskiej nocy. Nigdzie indziej nie było takiej ilości gwiazd i nie świeciły tak jasno. Zaraz po przyjeździe na południe zachwycił się blaskiem Drogi Mlecznej. Teraz z przyjemnością zauważył, że i Beth była oczarowana tym widokiem.



- Jesteśmy tacy zagubieni we wszechświecie - powiedziała, nie opuszczając głowy.  
- A może gdzieś w przestworzach jakiś mężczyzna i jakaś kobieta próbują razem uratować konającego wieloryba. Myślisz, że to możliwe?

- Ze statystycznego punktu widzenia całkiem prawdopodobne. Istnieją miliony planet. Dlaczego życie miałyby powstać tylko na jednej?

Myśli Beth szybowały do gwiazd. Spojrzała na Marca nieprzytomnie. Chciała coś powiedzieć, ale zaczął się jej plątać język.

Marc zmarszczył czoło. Wkrótce będę musiał ją stąd zabrać, pomyślał. Zaczyna mieć pierwsze oznaki hipotermii. W zimnej wodzie organizm wytwarza mniej ciepła, niż traci. No i te rozważania o kosmosie.

- Jesteśmy nic nieznaczącą cząstką innej nic nieznaczącej cząstki czegoś znacznie większego - wybełkotała. - Po co się w ogóle czymkolwiek przejmować? Nasze pełne zmartwień życie trwa tyle, co mrugnięcie okiem we wszechświecie. Nic nie znaczy.

- Liczy się tu i teraz - zaprotestował. - No i jakość życia, a nie długość.

- Jakość?

- Pełnia życia. Radość, miłość. Współczucie - dodał, patrząc na rzucającego się na mieliźnie wieloryba.

- Nawet jeśli to tylko chwila?

- Wolę przeżyć pięknie jedną chwilę niż sto bezbarwnych, nijakich lat. Ty nie?

- Byłbyś dobrym astronautą - wymamrotała. - W czwartej klasie o tym marzyłeś. Mówiłeś, że w kosmosie jest uwięziona księżniczka i ty musisz ją uratować.

- Dawno o tym zapomniałem. Nie mogę uwierzyć, że tak utkwilo ci to w pamięci.

- Wszystko pamiętam.

Jeszcze w piaskownicy doprowadzała go do szału. Też chciała być kosmonautą, a nie księżniczką. I zachowała to wspomnienie przez tyle lat. Uśmiechnął się do siebie z rozrzewnieniem.

- Opowiedz mi o mamie. - Na te słowa uśmiech natychmiast znikł z jego twarzy. - Co między wami zaszło?

- Zdawało mi się, że wyczerpaliśmy ten temat.

- Nie. Zadałam ci pytanie, a ty się wykręciłeś od odpowiedzi.

- Nie rozumiałaś aluzji?
- Zrozumiałam, że nie chcesz o tym rozmawiać.
- Bingo. Ale to cię nie zniechęciło.

Im bardziej się bronił, tym bardziej rozbudzał jej ciekawość. Zdawała się przezwy-  
ciężać kryzys, a i język się jej mniej plątał.

- Nie, nie przekonałeś mnie.
- Zawsze musisz rozdrapywać rany - odezwał się z nieskrywanym zniecierpliwie-  
niem.
- Po pierwsze chciałabym się dowiedzieć, skąd się wzięły te rany - obstawała przy  
swoim.

- Każdy ma jakieś problemy rodzinne. Nie sądzę, że twoje relacje z rodzicami  
układają się idealnie.

- Oczywiście, że nie. Dałam im wiele powodów do rozczarowania, ale nadal się  
widujemy. Co ci zrobiła Janice?

- Nie pamiętasz, jaka była?

Dobrze pamiętała, ale Marc zawsze był wobec matki niezwykle wyrozumiały. Nie  
rozmawiał o niej i nikomu nie pozwalał krytykować. To był temat tabu.

- Sądziłam, że to po śmierci twojego ojca... rozpadła się.

- Trafne określenie.

Beth przerwała akcję ratunkową. Szczękała zębami, ledwie wydobywając z siebie  
słowa.

- Pamiętam, że trudno było się z nią porozumieć, i tobie, i mnie. Pamiętam, że po  
szkole pracowałam w barze, żeby pomóc finansowo, a ona zdawała się tego zupełnie nie  
zauważać.

- Pamiętasz, jak wyglądała?

Beth zmarszczyła brwi, jakby się głęboko zastanawiała.

- Hm. Była wysoka, szczupła. Bardzo szczupła, żeby nie powiedzieć chuda. - Na-  
gle zaschło jej w gardle, a ciałem wstrząsnęły dreszcze spowodowane nie tylko wyczer-  
paniem i gorączką. - Jakby pusta w środku - dodała ledwie słyszalnym szeptem.

Marc spojrział w ciemną przestrzeń. W kilku słowach dokładnie opisała Janice. A to był dopiero początek.

- Przepraszam - powiedziała jeszcze ciszej, zdając sobie sprawę, że musiała zranić jego uczucia.

- Nie musisz. Trafnie ją określiłaś. Kiedy nasze drogi się rozeszły, było coraz gorzej. Im bardziej starałem się zrobić jej przyjemność, tym bardziej była niezadowolona i rozdrażniona. Cechowała ją huśtawka nastrojów; od wylewnej czułości po absolutną obojętność.

Beth była tak osłabiona, że nie miała już siły nawilżać wieloryba. Jej skóra nabrała zielonkawego odcienia.

- Od śmierci ojca była jakby nieobecna. Ten stan stopniowo się pogarszał. Całymi dniami nie jadła, zapomniała zamknąć drzwi na klucz, kiedy wychodziła z domu, zapomniała nakarmić kota. Dopiero po dwóch latach odkryłem, że uzależniła się od środków antydepresyjnych.

Beth zakręciło się w głowie i ziemia zadrżała pod stopami.

- Twoja matka była na lekach psychotropowych?

- Dalej jest.

Chryste. Nawet nie usiłował maskować pogardy. Opis zachowania Janice pasował jak ulał do niej samej. Była dokładnie taka jeszcze dwa lata temu.

- I dlatego się z nią nie widzisz? - spytała drżącym głosem.

- Nie interesuje mnie, co robi. Rejsy dla wędkarzy nie tylko ustawiły mnie finansowo, ale i wiele nauczyły. Obserwowałem, jak chłopaki łykali różne prochy pobudzające, i widziałem, jak ich to niszczyło. Po powrocie spojrzałem na nią z innej perspektywy. Byłem przerażony. Rozumiesz, to była moja matka.

Beth tylko skinęła głową. Nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Wszystkie pieniądze z polisy ubezpieczeniowej ojca i to, co wysyłałem jej na życie, praktycznie roztrwonila na leki. Przez te kilka lat ani o krok nie posunęła się do przodu.

Beth nagle ujrzała matkę Marca w zupełnie innym świetle. Zrozumiała jej desperacki gest sprzed lat.

- Co było dalej? - spytała.

- Nie poddawałem się przez kolejne trzy lata. Załatwiłem leczenie i wsparcie dla uzależnionych, ale nie skorzystała. Chowałem proszki, ale przewracała dom do góry nogami w poszukiwaniu magicznych tabletek. Groziłem, że się wyprowadzę, a ona wystawiła moje rzeczy za drzwi. Któregoś razu, kiedy tak zrobiła, miałem dość.

- I wyprowadziłeś się.

- Zmierzała prosto w przepaść, a ja nie zamierzałem bezsilnie się temu przyglądać. Miałem jeszcze nadzieję, że strata syna trochę ją otrzeźwi...

- Kiedy ostatnio się z nią widziałeś?

- Cztery lata temu. Wtedy przepisałem hipotekę domu na siebie. W ten sposób nie może sprzedać nieruchomości bez mojej wiedzy, a ja jestem spokojny, że ma dach nad głową. Zamiast wysyłać pieniądze, opłacam z góry posiłki, które są dowożone. W ten sposób mam pewność, że nie chodzi głodna. - Wzruszył bezradnie ramionami. - To wszystko, co mogłem zrobić - dodał.

Beth ogarnął ogromny smutek. Współczuła Marcowi, który niezależnie od wszystkiego kochał matkę. Współczuła Janice, która nie potrafiła poradzić sobie z życiem po śmierci ukochanego męża. No i nigdy nie sprawdziła się w roli samotnego rodzica. Wreszcie rozczuliła się nad sobą. Jej los potoczyłby się podobnie, gdyby pewnego niedzielnego ranka nie przypomniała sobie o chłopaku, który zawsze w nią wierzył.

- Dasz jej jeszcze jedną szansę? - Zadała to pytanie powodowana jakimś wewnętrznym przymusem.

Będąc na miejscu Janice, miałaby nadzieję, że nie została zupełnie spisana na straty.

- Pogodziłem się z faktem, że następnym razem zobaczę matkę w szpitalu psychiatrycznym albo na łożu śmierci.

Mogła sobie tylko mgliście wyobrażać, co czuł mały chłopiec dorastający u boku nieznaczącej matki. Nie było jej też trudno zrozumieć dorosłego mężczyzny bezsilnego wobec psychicznej ruiny najbliższej osoby.

Sama była uzależniona. Wiedziała, że pokonywanie nałogu to codzienna walka.

- Wyduś to wreszcie z siebie. - Marc zauważył, że coś ją gnębi.

Nie mogła mówić o tym, co by jej sprawiło prawdziwą ulgę, ale szybko znalazła temat zastępczy.

- A ty, szukałeś wsparcia?

- Nie było mi potrzebne - uciał krótko.

- Jesteś dzieckiem osoby uzależnionej. Są... - Ugryzła się w język, żeby nie zdradzić zbyt wiele. - Przypuszczam, że istnieje wsparcie dla rodzin. - Wiedziała na sto procent. Jej rodzice uczęszczali na spotkania takiej grupy.

- Niby jak mogliby mi pomóc?

- Zrozumieć motyw.

Wydawał się mocno poruszony.

- Sądzisz, że brak mi zrozumienia? To się zaczęło, kiedy miałem dziewięć lat.

- Spojrzałbyś na sprawę z większym obiektywizmem.

- Co mi to da? Bez tego wiem, że stoczyła się na samo dno.

Beth zamrugnęła gwałtownie, słysząc słowa pełne pogardy. O niej mówiono dokładnie tak samo. Jeszcze pięć lat temu, w zamroczeniu alkoholowym, było jej to zupełnie obojętne. Obecnie, kiedy próbowała zacząć wszystko od nowa, takie słowa bolały.

- To ja oczekiwałbym więcej zrozumienia od ciebie. Myślisz, że byłem ślepy i głupi? Wiem, że to przez nią przestałaś mnie odwiedzać.

- Ja tylko... To jest twoja matka, nie możesz jej odrzucać.

- Odrzucać? - powtórzył z niedowierzaniem. - To bolało jeszcze bardziej niż... - W porę ugryzł się w język. - Nie masz pojęcia, jak wygląda życie z osobą uzależnioną. Nałóg to niszczycielska siła.

Oczy Beth napęły się łzami. Dobrze, że jest ciemno, pomyślała.

Beth z własnego doświadczenia знаła uzależnienie, ale rzeczywiście niewiele wiedziała o życiu z taką osobą. Kiedy Damien zaczął nałogowo pić nie podjęła walki, tylko do niego dołączyła. Marc poddał się dopiero po długich zmaganiach, w ten sposób się ratował.

- Bardzo ci współczuję. - Pokiwała głową. - Przykro mi, że nie było mnie wtedy przy tobie.

- Mnie też. Bardzo potrzebowałem bratniej duszy.

- Kiedy się wyprowadziłeś?
- Cztery lata temu w Wigilię.

Zawsze spędzała Boże Narodzenie u rodziców, którzy z troską patrzyli na nią i Damiana. Przez tych kilka dni udawało się jej nie pić, a i Damien starał się zachowywać pozory. Tymczasem Marc siedział pod drzwiami na walizkach. Co za kontrast.

- Byłeś sam?
- Jeśli chciałaś spytać, czy byłem w związku, to odpowiedź brzmi: nie.

Nie miał w Australii bliskiej rodziny ani przyjaciół. Uzależniona od leków matka była jego jedyną rodziną.

- Przez kilka lat pływałem na statkach rybackich. Ta decyzja zmieniła moje życie na dobre.

- Pamiętam, że byłeś optymistą. Dla ciebie szklanka zawsze była do połowy pełna.
- Każdy jest odpowiedzialny za swoje szczęście, jak również za skutki własnych działań.

Szczerą prawdą. Beth była tego żywym przykładem.

- Muszę szybciej się ruszać, bo zasnę - powiedziała bardziej do siebie niż do Marca.
- Jeśli nie dajesz rady, odpocznij albo wróć do domu.
- Zostanę na plaży tak długo, jak ty.
- Nadal nie opuszcza cię duch współzawodnictwa.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Beth nie była w stanie opanować wstrząsających ciałem dreszczy.

Marc wreszcie pogodził się z faktem, że nie zamierzała czekać na niego w samochodzie, choć niepokoiło go, że szczykała zębami.

- Przynajmniej wyjdź na chwilę z wody, żeby się trochę ogrzać.

Oboje byli skrajnie wyczerpani. Dla równowagi opierali się o bok wieloryba, którego polewali wodą.

- Na brzegu jest równie zimno - mruknęła. - No i nie zostawię cię tu samego.

- Byłbym spokojniejszy, wiedząc, że jesteś bezpieczna.

- Tracisz czas - ucięła Beth.

- Poczekaj, zaraz wracam - rzucił zrezygnowanym tonem i znikł w ciemności.

Nie było go przez chwilę, która wydawała się Beth wiecznością.

- Łap - zawołał, rzucając w jej kierunku ostatni batonik.

Zbyt wyczerpana, żeby jeść, machinalnie wsunęła go do kieszeni. Marc nie miał siły protestować.

- Teraz to.

Beth zachwiała się, widząc przedmiot lądujący na piasku. W jej umyśle rozgrywała się właśnie zażarta walka.

- To whisky. Wytrawna, ale rozgrzewa od środka.

- Zabierz to natychmiast - krzyknęła gniewnie, nie wiedząc, skąd znalazła w sobie tyle energii.

- Musisz się napić.

- Piłam wodę.

- Woda nie chroni przed utratą ciepła.

- Nie piję.

Roześmiał się.

- Księżniczko, tym razem musisz zrobić wyjątek. Tu chodzi o przetrwanie. - Ponownie podał jej piersiówkę.

- Nie mogę - powtórzyła, nie odrywając wzroku od srebrzystego kształtu, kusząco migoczącego w świetle księżyca.

Wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę...

- To nie trucizna. - Marc odkorkował butelkę i pociągnął zdrowy łyk.

- Nie mogę - powtórzyła ze łzami w oczach.

- Albo whisky, albo marsz do samochodu. - Marc tym razem nie zamierzał ustępować.

- Chcesz, żebym cię błagała na kolanach?

- Chcę, żebyś się rozgrzała.

- Nie wypiję whisky. Koniec dyskusji.

- Nie stwarzaj sztucznych problemów.

Z jednej strony miała ochotę wykrzyknąć mu prosto w twarz, że jest alkoholiczką, z drugiej umierała ze strachu przed takim wyznaniem.

Wiedziała jednak, że musi w jakiś sposób wytłumaczyć swój upór.

Może powinna mu zaufać, tak jak kiedyś zaufała sponsorowi z grupy AA. Ciekawe, jak by to przyjął. Przed chwilą bez ogródek wyjawiał, co myśli o uzależnieniach. Ale to przecież Marc... Zrozumie, doceni wysiłek. Nie będzie potępiał.

Niemożliwe, roześmiała się gorzko w duchu.

Targała nią niepewność. Każda reakcja, nawet negatywna, wydawała się lepsza od dramatycznego wyczekiwania na wyrok. Czemu łatwiej było wyznać prawdę nieznanemu niż najbliższemu przyjacielowi? - zastanawiała się.

Z trudem opanowując dreszcze zimna, wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Mam na imię Elizabeth. Jestem alkoholiczką.

Marc poczuł się, jakby ktoś zdzielił go mocno prosto w splot słoneczny. Nagle zabrakło mu powietrza. Odrzucił mokry ręcznik, obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

Często słyszał takie żarty, ale desperackie spojrzenie Beth przekonało go, że mówiła poważnie.

Beth była alkoholiczką.

Jego Beth.



Szedł po omacku w ciemności, nie zważając, że może poranić bosc stopy. Najpierw matka, teraz Beth. Musiało chyba ciążyć nad nim jakieś fatum. Wszyscy, których kochał, albo przedwcześnie umierali, albo kończyli jak żywe trupy.

Ścisnął w dłoni srebrną piersiówkę, jedną z niewielu pamiątek po ojcu. Przypominał sobie, jak Beth na nią patrzyła.

Dobrze pamiętał również szalone spojrzenie matki, kiedy miała przed oczami fiolkę pigułek. Jakby ujrziała odrażającego gada, a zaraz potem jakby ktoś podawał jej kielich ambrozji.

Kiedy dorastali, chciał być taki jak Beth. Rozsądna, mądra, odważna. A jednak wpadła w nałóg...

Ale nie poddała się, krzyczał wewnętrzny głos. Z pewnością bardzo chciała się napić, lecz znalazła w sobie dość siły woli, żeby odmówić. Może potrafiłaby to wszystko jakoś wytłumaczyć.

Zasługiwała przynajmniej na taką szansę. Z tą myślą zawrócił.

- Jak długo? - Pewnie nie było to najlepsze pytanie na początek, ale musiał jakoś zacząć. Miał świadomość, że rani ją brakiem wrażliwości. Targały nim sprzeczne uczucia.

- Piłam przez osiem lat. Od dwóch nie piję. Wychodzę z nałogu.

Alkoholikiem pozostaje się na zawsze, pomyślał. Można jedynie osiągnąć stan, w którym się jest trzeźwym alkoholikiem. Obserwował, jak ukradkiem spoglądała na piersiówkę. Chętnie wylałby zawartość do morza, ale powstrzymało go jej spragnione spojrzenie. Miał wrażenie, że rzuciłaby się do oceanu, by uratować choćby kropelkę whisky.

- Zaczęłaś już w szkole?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Mniej więcej rok po ślubie.

- Dlaczego?

- Miałam problemy - odparła ze łzami w oczach.

- Wszyscy mają problemy. - A nie każdy wpada w nałóg, dodał w duchu. - Alkohol, prochy. To tylko pretekst.

- Wiem. To był mój wybór. Teraz ponoszę konsekwencje.

Przynajmniej potrafiła przyznać się do winy. Od matki słyszała same wykręty. A to bolała ją głowa, a to nie mogła spać.

Beth ponownie spojrzała na piersiówkę. Nie odrywała od niej oczu.

Marc, powodowany nagłym impulsem, zamachnął się i rzucił butelkę daleko w morze.

- Co robisz? - krzyknęła, zrywając się na równe nogi.

- Usunąłem pokusę.

- To była pamiątka po ojcu.

Zaskoczyła go. Mimo alkoholowego głodu pomyślała o nim. Matka w poszukiwaniu prochów skoczyłaby w paszczę rekina.

- To tylko rzecz, Beth, nie część ojca.

- Mogłeś schować do torby.

- Nie miałem pewności, czy tam będzie bezpieczna.

- Przez cały dzień się uchowała - odparła, nie pokazując po sobie, jak bardzo zabolala ją ta uwaga. - Możesz kontynuować przesłuchanie.

Zacisnął wargi. Dotarło do niego, że był zbyt surowy. Mogła mieć dość, szczególnie po kilkunastu godzinach nadludzkiego wysiłku.

- Chciałbym, żebyś mi wszystko opowiedziała. Chciałbym spróbować zrozumieć - powiedział, z trudem zachowując spokój.

- Żeby porównać mnie do matki?

- Przed nami kilka godzin. Chyba nie sądzisz, że po takiej informacji możemy zacząć rozmawiać o pogodzie?

Jasne, że nie, pomyślała. Nie planowała wieczoru prawdy, ale jak powiedziała „a”, trzeba było powiedzieć „b”.

- Po rozstaniu z Damienem przez cały miesiąc udało mi się powstrzymać od alkoholu i dopiero wtedy zdecydowałam się zgłosić do AA. Później był drugi miesiąc w trzeźwości, trzeci, piąty, dziesiąty. I tak od dwóch lat próbuję nadrabiać straty. Cały czas żyję z poczuciem winy, nie zniosę więcej słów potępienia. Szczególnie od ciebie.

- Nie będę cię osądzać.

- Co jeszcze chciałbyś wiedzieć? - Westchnęła zrezygnowana.

- Wszystko.

Przez chwilę zbierała myśli, nie wiedząc, od czego zacząć.

- Zraniłam cię, ale to ja najbardziej ucierpiałam. Wtedy wydawało mi się, że Damien jest wszystkim, czego pragnę. Ludzie traktowali mnie zupełnie inaczej, kiedy byłam z nim, a mnie to schlebowało. Wkrótce wyszło na jaw, że nie jest stworzony do życia w związku. Małżeństwo go przerosło. Byłam bardzo młoda i starałam się zachowywać jak idealna żona. Kiedy nalegał na drinka, pytałam, na co ma ochotę, i podawałam kieliszek. Z czasem było coraz gorzej.

- Krzywdził cię?

Beth zastanawiała się przez chwilę.

- Czasami - rzuciła, czerwieniąc się ze wstydu. - Tłumaczyłam sobie, że to wszystko przez alkohol. Im więcej pił, tym stawał się bardziej agresywny. - Im więcej ja piłam, tym mniej mnie to obchodziło, dodała w duchu.

- To przez Damiena - raczej stwierdził, niż spytał.

Beth pokręciła głową. Nigdy nie obarczała innych winą za swoje problemy i nie zamierzała tego robić teraz.

- Sama dokonałam wyboru.

- Co skłoniło cię do zerwania z nałogiem?

- Dotarło do mnie, że mam dwadzieścia pięć lat i niczego nie osiągnęłam. Pracuję, ale niewiele umiem. Jestem mężatką, ale nie mam rodziny. Nie lubię swojego męża, a przyjaciele są przy mnie tylko wtedy, kiedy stawiam. Spakowałam podręczną torbę i wyszłam.

Zabrzmiało to znacznie lepiej, niż wyglądało w rzeczywistości. Nie wspomniała o żalu i bólu, przepłakanych nocach, ale ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwała od Marca, była litość.

- Co się stało z McKinleyem? - spytał.

- Nic. Nawet nie próbował mnie zatrzymać. Oboje popełnialiśmy błędy i oboje byliśmy nieszczęśliwi.

- Nie utrzymujesz z nim żadnego kontaktu?

- Nie widziałam go od rozwodu. - Od czasu do czasu docierały do niej nieciekawe pogłoski.

- Czy kuracja była trudna?

Beth wyczuła w jego głosie coś więcej niż ciekawość. Natychmiast pomyślała o Janice. Jednak nie zamierzała niczego upiększać.

- Najpierw trzeba pokonać fizyczny głód alkoholowy, a później uzależnienie emocjonalne. Ale to jest do zrobienia. Mnie się udało. O prawdziwym zwycięstwie można mówić, kiedy okres trzeźwości jest dłuższy od okresu nałogu.

- Nikt cię nie wspierał?

- Rodzice oferowali pomoc, ale skoro wpędziłam się w problemy na własne życzenie, uznałam, że sama powinnam je rozwiązać. Musiałam sobie udowodnić, że mam silną wolę.

- Co ci pomogło wytrwać w postanowieniu?

Ty. Samo wspomnienie Marca jako symbolu najpiękniejszych wartości. Starannie dobierała słowa.

- Marzenie o tym, co kiedyś chciałam osiągnąć. Kim chciałam być. No i sponsor z sekcji AA.

Beth starała się ukryć wzruszenie. A zatem zależało mu na niej, przynajmniej trochę.

- Musiałam przez to przejść samodzielnie. Poza tym nic by z tego nie wyszło. Podczas terapii ważny jest brak emocjonalnego zaangażowania. Tylko wówczas może się udać.

- Planujesz zostać kiedyś sponsorem?

- Oczywiście. - W tej kwestii Beth nie miała najmniejszych wątpliwości. - Gdy będę wystarczająco silna.

- Wydaje mi się, że już jesteś.

Za każdym razem takie pochwały sprawiały Beth ogromną przyjemność.

- Wygrałam bitwę, ale nie wojnę. Każdy dzień przynosi nowe wyzwania. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że długo żyłam pod kloszem.

- W dzieciństwie?

- Najpierw chronili mnie rodzice, a później znieczulałam się alkoholem. Nie musiałam podejmować trudnych decyzji ani stawiać czoła stresującym wydarzeniom. Zawsze ktoś mnie prowadził - rodzice albo ty. Muszę się jeszcze nauczyć życia.

Marc przyglądał się jej uważnie przez dłuższą chwilę. Zastanawiała się, czy myśli o wspólnym, szczęśliwym, pełnym przygód dzieciństwie, czy też o okolicznościach zerwania przyjaźni.

- Odszukałaś mnie. Chyba nie było to łatwe?

- Nie - potwierdziła krótko. Odczuwała ogromną potrzebę zobaczenia się z Markiem. W którymś momencie to spotkanie, oprócz walki z nałogiem, stało się motorem napędzającym jej życie. Byli jak yin i yang, dwie przeciwne, przyciągające się siły. Poczula znany ucisk w piersi, który zawsze pojawiał się w nieodpowiednim momencie. - Dałabym się w tej chwili zabić za drinka - przyznała z rozbrajającą szczerością.

Spojrzał ze smutkiem. Ale Beth nie zamierzała udawać. Jeżeli ma ją zaakceptować, to ze wszystkimi słabościami. Na dobre i na złe, w zdrowiu i chorobie. A później, kto wie...

- Miałaś ciężką noc. Otworzyłabyś butelkę, gdyby jakimś cudem znalazła się pod ręką?

Wyobraziła sobie taką sytuację. Czarodziejski płyn, który latami zapewniał dar zapomnienia. Bez bólu, bez wstydu, bez przeszłości.

- Uwierzysz, jeśli powiem, że nie?

Nie odpowiedział. W ten sposób dobiegł końca wieczór prawdy. Beth, która przez chwilę nie myślała o zmęczeniu i chłodziu, ponownie zaczęła szczerkać zębami.

- Nalegam, żebyś wróciła do samochodu. Choć o niczym innym bardziej nie marzyła, obstawała przy swoim. Postanowiła, że do końca pozostanie na plaży. Jeśli ugnie się w jednej sprawie, to...

Wstrząsały ją konwulsyjne dreszcze, ciało pokrywała gęsia skórka.

Marc przeklął pod nosem. Wybiegł na chwilę z wody, jednym ruchem rozpiął kombinezon i przytulił ją. Bezpośredni dotyk. Jak ogień topiący lód. Bardziej rozgrzewający niż kieliszek luksusowego koniaku.

Rozcierał jej zziębnięte ręce. Postronny obserwator uznałby tę scenę za przesyconą erotyzmem, tymczasem oni czuli się wyjątkowo niezręcznie.

Czuła oddech Marca na szyi. Stopniowo dawały o sobie znać dawno zapomniane doznania.

- Dobrze ci było? - spytał szeptem.

- Słucham? - zachnęła się, nie wiedząc, o co chodzi.

- Kiedy byłaś uzależniona. Pewnie tak - kontynuował. - Inaczej ludzie by tego nie robili.

Beth zastanawiała się, jak to wytłumaczyć.

- Rozpatrywałam to w innych kategoriach. Nie chodziło o to, czy było mi dobrze w stanie upojenia, ale o to, jak źle się czułam, kiedy byłam trzeźwa.

- Spróbuj opisać oba stany.

Łzy napłynęły jej do oczu. Chciał zrozumieć, tak jak kiedyś.

Poczuła się, jakby wrócił do niej dawny Marc.

- Oszalałeś kiedyś na czyimś punkcie?

- Chodzi o miłość?

- Raczej o obsesję. Zadurzenie w kimś niewłaściwym i nieosiągalnym.

- Może - rzucił w przestrzeń, unikając jej wzroku.

Ciekawe, czy to była Tasmin, przemknęło jej przez głowę. Chyba jednak nie. W ostatniej klasie chodzili z sobą.

- Pamiętasz, jak taka obsesja powoli opanowuje wszystkie myśli, i w dzień, i w nocy. Jest zawsze i wszędzie przy tobie. Przytrafiło ci się coś takiego?

- Mów dalej - poprosił, jakby nie usłyszał pytania.

- Dokładnie tak działało moje uzależnienie. Opanowana przez nałóg, nie zdawałam sobie sprawy, że mnie zżera od środka. Wokół tego kręciły się moje dni, nauczyłam się z tym jakoś funkcjonować. To było tak irracjonalne, jak młodzięcza ślepa miłość.

Marc pokiwał głową.

Beth zdenerwowała się. Nie mogła odczytać jego reakcji.

- Nie pamiętasz czy nie rozumiesz?

- Pamiętam - szepnął.

Na policzku poczuła ciepło jego oddechu.

- Więc znasz to opętanie. Jesteś przekonany, że skonasz bez tego, czego pragniesz.

I nawet nie uświadamiasz sobie problemu.

- To aż tak silne?

- Jesteś chory z miłości. Nakręcają cię endorfiny, hormony szczęścia. Wielka niszcząca siła, ale ty tego nie zauważasz. Nie chcesz dostrzegać. Nie obchodzi cię absolutnie nic poza obiektem pożądania. To pasożyt o ogromnym instynkcie samozachowawczym. Najpierw atakuje to, co najbardziej mu zagraża - siłę woli, świadomość, rozsądek, zdolność odróżniania dobra i zła. Kiedy go zabraknie, odczuwasz dolegliwy ból fizyczny. Zaczynasz oskarżać bliskich. Im bardziej próbują ci pomóc, tym bardziej ich atakujesz. Wyobrażasz sobie, że Odgradzają cię od tego, co jest sensem życia. W tym momencie twoje zachowanie zaczyna zagrażać otoczeniu.

Byli tak blisko, że wyczuła, jak napiął mięśnie. Wiedziała, że myślał o matce.

- Ale taka obsesja mija. Albo się z niej wyrasta.

Bez zaskoczenia przyjmowała potępienie, chociaż nadal było jej przykro, że większość ludzi traktuje uzależnienie w kategoriach upadku moralnego albo słabości charakteru.

- Zwykle jest to wymuszone przez życie, czyli presję społeczną, sytuację finansową. Z nałogiem jest inaczej. Byłam dorosła, dysponowałam odpowiednimi środkami, nie miałam zbyt wielu zajęć. Mąż pił regularnie. Chciałam znieczulić ból. Dlaczego miałabym nie ulec tej obsesji?

- Bo zabija - szepnął.

- Wtedy mnie to nie obchodziło.

- Nie bałaś się śmierci?

Nie mogła znieść wyrazu niedowierzania na twarzy Marca, chociaż go rozumiała. Przeżycia z dzieciństwa pozostawiły w psychice trwałe ślady.

- Bałam się, że umrę, jeśli się nie napiję.

Przytulił ją mocno. Na taki moment kiedyś czekała, choć nie zdawała sobie z tego sprawy.

Marc i Beth, przyjaciele, przed którymi cały świat stał otworem.

Czuła, że nie jest mu łatwo poradzić sobie z tym, co usłyszał. Ona rozumiała przyczyny i mechanizmy nałogu dopiero po dwóch latach. Czuła się wyczerpana fizycznie i psychicznie.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - rzucił przyciszonym głosem.

- Nie musisz nic mówić. Wystarczy, że starasz się zrozumieć - wybełkotała, slaniając się na nogach.

- Sądziłem, że bardziej zależało ci na przebaczeniu.

Skinęła głową, jednocześnie muskając policzkiem jego ramię. Było to błogie uczucie.

- Na jednym i drugim. Nie chcę, żebyś mnie nienawidził.

Wyraźnie słyszała rytmiczne uderzenia jego serca.

- Przyjmuję przeprosiny, Beth.

Te słowa jakby tchnęły w nią nowe życie. Stała przed otwartymi drzwiami, za którymi wszystko było możliwe. Ostatnie, najtrudniejsze spotkanie, miała za sobą.

- Dziękuję.

Trzymał jej głowę w dłoniach. Z trudem uniosła powieki. Spojrzenie kochanych, piwnych oczu dodawało jej siły.

- Zbyt długo miałem do ciebie żal. Nie powinienem pozwolić ci wtedy odejść.

Głos Marca rozpływał się w dźwiękach fal uderzających o brzeg. Beth zasnęła na stojąco.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Skrzekliwy dźwięk wyrwał ją z niespokojnego snu. Nozdrza wypełniał zapach stęchlizny. Sprężyny niewygodnego materaca wbijały się w plecy, kiedy próbowała przewrócić się na drugi bok.

Z trudem uniosła powieki. Nie, to nie łóżko... Drzemała na tylnym siedzeniu samochodu. Szybko ustaliła, co ją obudziło. To orzeł szybował w górze, poszukując pożywienia. Z wilgotnego koca, którym była owinięta po szyję, unosił się nieprzyjemny zapach.

Mimo zeszywniałych mięśni ze złością zerwała się na równe nogi. Jej miejsce było przy Marcu, na plaży, a nie w ciepłym, choć cuchnącym samochodzie.

Doczołgała się do tylnych drzwi, otworzyła. Czuła, jak pod wpływem lodowatego podmuchu; wiatru wyskakuje jej gęsia skórka.

Owinęła się mocniej brudnym kocem i ruszyła na brzeg. Na wydmach chyba było jeszcze zimniej niż nad samym oceanem. Nad linią horyzontu zaczynało świtać.

- Jak długo spałam? - Nie traciła czasu na zbędne uprzejmości.

Marc stał po kolana w wodzie. Dla podtrzymania równowagi opierał się o bok wieloryba. Marnie wyglądał, ale jej wydawał się bardzo pociągający, nawet w takim stanie.

- Czemu mnie nie obudziłeś? - spytała z wyraźną pretensją w głosie.

- Odpłynęłaś.

- Co mam teraz robić?

- Odpocznij, jesteś wykończona.

- A ty?

- Przywykłem. Wiele razy sam ratowałem wieloryby.

- Nie powinieneś być sam. - Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę z ich podtekstu.

Nie miała na myśli tylko akcji ratunkowej. Zaslugiwał na to, żeby dzielić życie z odpowiednią kobietą, zasługiwał na szczęście.

Ale ona nie była taką kobietą.

- Dlaczego jesteś sam?

- A dlaczego pytasz?

- Jesteś doskonałą partią. Nawet tutaj, gdzie na jedną kobietę przypada dziesięciu mężczyzn.

- Dzięki za komplement.

Przez chwilę poczuła się jak za dawnych dobrych czasów. Tak swobodnie rozmawiali, kiedy byli przyjaciółmi.

- Byłem w kilku związkach.

- Coś poważnego?

- Nie przetrwały próby czasu - odparł zapatrzony w horyzont.

- Czemu się wam nie układało?

- Chyba nie zamierzasz udzielać mi dobrych rad na temat relacji męsko-damskich.

- Mam wiele wad, ale nie jestem hipokrytką - zamknęła rozmowę, kierując wzrok na wieloryba, który prawie się nie ruszał. - Jak się miewa?

- Znacznie gorzej niż którekolwiek z nas, ale się nie poddaje. - Mówił dziarsko, jakby pragnął zarazić zwierzaka optymizmem.

- Nie zostawisz go tu, prawda?

- Nie - odparł krótko, po czym zwrócił się bezpośrednio do olbrzyma: - Nie pozwolę ci odejść.

- Ten upór wiele o tobie mówi.

Rzucił jej pytające spojrzenie.

- Jaki jesteś. Walczysz, żeby dać mu szansę. Właściwie niewiele się zmieniłeś.

Marc ugryzł się w język i pozostawił tę uwagę bez komentarza. Czowała, że atmosfera między nimi gęstnieje. Pewnie nie był w nastroju do rozmowy po tym, co usłyszał nad ranem.

Na samą myśl o tym poczuła wstyd i zwątpienie. Stanowczym ruchem wyplątała się z koca, zanurzyła go w wodzie i naciągnęła na grzbiet orki. Następnie sięgnęła po plastikową butelkę i rozpoczęła monotony rytuał czerpania i polewania.

Zbliżał się odpływ i ranny ogon zwierzęcia niebezpiecznie wystawał z wody.

- Jak ci idzie? - spytał, obserwując ją spod oka.

Żachnęła się, kiedy do niej dotarło, że miał na myśli zmaganie się z nałogiem.

- Mam ochotę na jajecznicę na boczku, kubek gorącej herbaty i krwawą mary - odparła niewinnie.

- Żartujesz. - Spojrzał na nią ze złością.

- Może już czas, żeby podejść do tego na wesoło i zacząć normalnie żyć.

- Co zamierzasz robić?

Dobre pytanie. Zamknęła listę. Teraz nadszedł czas, by pomyśleć o przyszłości.

- Nie mam pojęcia... - Wyznała szczerze. - Ostatnie dwa lata żyłam z dnia na dzień, bez alkoholu. To było celem samym w sobie. - Wzruszyła ramionami. - Sądzę, że prowadzenie sklepu monopolowego nie byłoby dobrym pomysłem.

Spojrzenie Marca miało siłę rażenia.

- Przepraszam. Głupi żart - dodała. - Czasem odnoszę wrażenie, że całe moje życie kręci się wokół picia i trzeźwienia.

- Masz do nadrobienia dziesięć lat - powiedział twardo. - Nie myślałaś o studiach?

- Raczej nie. - Beth zmarszczyła brwi.

- Wiele osób zaczyna w twoim wieku.

- Kluby, bary, spotkania towarzyskie. Zbyt wiele pokus, to nie dla mnie.

- Może przez internet - zasugerował, zaciskając wargi.

Pewnie mogłaby poświęcić się nauce w przestronnym magazynie zaadaptowanym na pracownię. W ciszy i samotności.

- Co miałabym studiować? - spytała.

- A co cię interesuje?

Odpowiedziało mu puste spojrzenie.

- Może malarstwo? - zasugerował.

Beth pokręciła głową.

- To element terapii. Nie zarobię w ten sposób na życie.

- Czemu nie? Mogłabyś pomagać innym, tak jak ktoś pomógł tobie. Spłacić dług wdzięczności.

Uniosła z zainteresowaniem głowę. Zabrzmiało to przekonująco. Terapia przez sztukę. Sama wcześniej nie miała pojęcia, że istnieją takie formy. Była najlepszym przykładem, jak bardzo bywają skuteczne.

- Zawsze znajdą się ludzie potrzebujący pomocy - oświadczył z powagą.

Beth ujrzała przed sobą jasny cel.

- Tym mogłabym się zająć. W prosty sposób pomagać ludziom.

- Nie marzysz już o podboju świata?

Alkohol odebrał jej znacznie więcej niż dekadę życia.

- Będę szczęśliwa, jak rozwiążę własne problemy. Spojrzał na nią ze smutkiem.

- Wierzę, że ci się uda, Beth.

- Zawsze we mnie wierzyłeś - odparła równie melancholijnie.

- Co byś zmieniła, gdybyś mogła cofnąć czas? - spytał się po dłuższej chwili milczenia.

Nad tą kwestią sama długo się zastanawiała.

- Nie przywiązywałabym takiej wagi do opinii innych, no i zignorowałabym umizgi Damiena. - Unikała jego spojrzenia, ciągnąc po piasku mokry koc. Nie posłuchałabym twojej matki, miała ochotę dodać. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek indziej, nie mogła tego powiedzieć. Sprawy między matką i synem układały się wystarczająco źle. Nie chciała dolewać oliwy do ognia. - Nie wykreśliłabym ciebie z mojego życia.

- Nie wykreśliłaś, a przynajmniej ci się nie udało. Nie narzucałem się, ale to nie znaczy, że straciłem cię z oczu. Tak było do matury, a potem wszelki słuch o tobie zagiął.

Beth pokiwała głową.

- To niczego nie zmienia. Zasługiwałaś na znacznie więcej. - Nadal zasługujesz, pomyślała. Poczowała przyspieszone bicie serca. Podjęła pewną decyzję. - Chciałam ci jeszcze coś powiedzieć. - Przez chwilę zbierała się na odwagę do kolejnego wyznania. Grając na czas, powoli zamoczyła koc i otuliła nim wieloryba. Zaczerpnęła głęboko powietrza. - Zapomniałam o tobie na jakiś czas. Kiedy byłam w szponach nałogu, wyparłam cię z pamięci na całe lata. Zaraz po maturze byłeś w moich myślach dzień po dniu. Zastanawiałam się nad tym, co zrobiłam wspominałam wszystko, co nas łączyło. Starałam się stworzyć równie mocną więź z mężem, ale nic z tego nie wyszło. Kiedy zaczęłam się staczać na dno, to wspomnienie coraz bardziej bolało, więc żeby uniknąć cierpienia, przestałam o tobie myśleć.

- Rozumiem - powiedział z westchnieniem.

- Pewnego ranka obudziłam się i twój obraz stanął mi przed oczami, jakbyś przyszedł z jakąś misją do spełnienia. Zdałam sobie sprawę, że bardzo długo funkcjonowałam jak żywy trup. Przypomniałam sobie, że jest ktoś, kto we mnie wierzył. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Dałeś mi siłę. To dzięki tobie przestałam pić. Wystarczyło wspomnienie twojej dobroci i niezłomności charakteru, których mnie brakowało.

Marc opuścił głowę, nie wytrzymując pełnego napięcia spojrzenia.

- Chcę, żebyś wiedział, jaką rolę odegrałeś. Wyciągnąłeś mnie z bagna. - Splotła nerwowo dłonie. - Alkohol pomógł mi zapomnieć o krzywdzie, jaką wyrządziłam osobie, którą kochałam. Kiedy piłam, nie myślałam o konsekwencjach mojej decyzji. Wspomnienie o tobie uratowało mnie, kiedy byłam wrakiem człowieka.

Marc wpatrywał się w przestrzeń z napięciem na twarzy.

Beth kolejny raz zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Zawsze nosiłam cię w sercu, tylko przez jakiś czas bałam się do tego przyznać. To był rodzaj samoobrony. - Położyła dłoń na boku wieloryba, żeby powstrzymać drżenie palców. - Kiedy wczoraj wpadliśmy razem do wody, uświadomiłam sobie, że nadal gościsz w moim sercu.

Kolejne minuty ciszy wydały jej się bardzo złowrogie. Starła się nie okazywać po sobie ani nadziei, ani narastającej obawy.

- Nie oczekuję niczego w zamian. - Nieprawda, marzyła o wzajemności. Tak mocno, jakby od tego zależało jej życie. - Chciałam tylko... Musisz wiedzieć, że uratowałeś mi życie.

Ciężko oddychał, patrząc jej prosto w oczy. Wreszcie odezwał się głosem pełnym cierpienia:

- Beth, posłużyłem ci jako proteza.

Poczuła się, jakby ktoś ją spychał w przepaść.

- Nie, ja...

Przerwały jej krzyki dobiegające od strony wydm. W świetle wschodzącego słońca zobaczyła kilka sylwetek.

Mieli zwoje lin i koce. Na ten widok chętnie wydałyby okrzyk ulgi i radości, ale teraz przede wszystkim chciała jeszcze zamienić z Markiem parę słów na osobności.

Rzuciła mu ostatnie błagalne spojrzenie.

Marc spojrział na nią ostro.

- Nie możesz zastępować jednej obsesji drugą. Nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Znam to aż nazbyt dobrze.

No tak, jego matka... Chciała jeszcze coś tłumaczyć, ale poddała się euforii. Ratunek przybył na czas. Szczęście mieszało się z bezbrzeżnym smutkiem.

Marc przyłożył ostatni wilgotny kompres, spoglądając na Beth.

- Przyjąłem twoje przeprosiny, ale dla mnie to nic nie zmienia. Może dla ciebie.

Miała wrażenie, że ziemia rozstępuje się jej pod nogami. Jak to? Wybaczył, ale nie będzie w stanie zapomnieć i zacząć od nowa? Jedno bez drugiego nie miało dla niej sensu.

- Liczyłam na zrozumienie...

- Rozumiem więcej, niż myślisz. - Wydawał się bardzo zmęczony. - Minęło dziesięć lat. Oboje się zmieniliśmy. Teraz jesteśmy zupełnie innymi ludźmi. Jeśli rzeczywiście pomogłem ci pokonać... to wszystko, cieszę się. Nie jestem talizmanem, który uchroni cię od nałogu. Czy naprawdę sądziłaś, że jak wyznasz mi, że byłaś alkoholiczką, to znów zacznę ci ufać?

Tak, właśnie na to liczyła, chociaż dopiero teraz to do niej dotarło. W głębi serca właśnie takiej nagrody oczekiwała za silną wolę, za pokonanie wstydu, za zwycięską walkę z samą sobą. Łudziła się, że los zwróci jej Marca i rozpoczną razem nowe życie.

Poczuła na sobie czyjeś dłonie. Ktoś wyprowadzał ją z wody, ktoś inny delikatnie podtrzymywał. W desperacji wyciągała ręce do Marca. Nie mogła stracić go z oczu choćby na moment. Coś jej mówiło, że jeśli tak się stanie, więcej go nie zobaczy.

Wreszcie zacisnęła mocno palce wokół jego dłoni. Rozpaczliwy gest słabej kobiety. Marc wyglądał na równie udręczonego.

- Nie było ci łatwo przez te lata, wiem. Nie napawa mnie to satysfakcją, przeciwnie, bardzo mi przykro. Ale mnie rzuciłaś dla Damiana znacznie wcześniej.

Tak, uczyniła to z zimną krwią, chociaż wiedziona szlachetnymi pobudkami. Uległa prośbom jego matki. Cały czas działała bezwolnie. Nawet teraz nie mogła się zdobyć, by wyjawić, jaka była prawdziwa przyczyna rozstania. - A dawna przyjaźń? - Łapała się wszelkich argumentów, jak tonący brzytwy.

- Żyłem bez niej tyle lat.

Jak mogłam czegoś więcej oczekiwać, powtarzała w duchu.

Marc powoli oddalał się, gestykując i prowadząc ożywioną rozmowę z ratownikami.

- Zaczekaj - krzyknęła.

Dała sobie ostatnią szansę.

Odwrócił się zrezygnowany.

- Co będzie dalej?

Wzruszył obojętnie ramionami.

- Każde z nas pójdzie swoją drogą. Doceniam twój wysiłek podczas akcji ratunkowej, ale dla mnie wszystko między nami jest skończone.

Beth noga za nogą wlekła się po piasku.

Przyciszony kobiecy głos coś szeptał jej do ucha, ale niewiele do niej docierało. Ktoś owinał kocem i podał termos gorącej herbaty Ktoś opatrywał otwarte rany. Poddała się tym zabiegom z ufnością dziecka. Po kilku godzinach spędzonych w ciemnościach, mrużyła oczy oślepiona blaskiem promieni wschodzącego słońca. Inaczej to wszystko sobie wyobrażała. Świt miał być symbolicznym początkiem nowego życia. Stało się inaczej. Miała wrażenie, że ponownie utraciła Marca. Tym razem bezpowrotnie.

Nawet się nie pożegnał. Ani z nią, ani z wielorybem.

Ratownicy zawieźli ją do przydrożnego motelu.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Nigdy wcześniej zagracona pracownia Beth nie cieszyła się taką popularnością.

Od czterech miesięcy prowadziła warsztaty artystyczne dla kobiet, które uważały, że w ich życiu brakuje piękna. Ofiary przeróżnych uzależnień, przemocy domowej i urazów psychicznych bywały tu częstymi gośćmi. Rozmawiały o tym, co je najbardziej bolało. Przelewały na płótno swoje obawy i nadzieje.

Była to prosta forma terapii grupowej dla osób skrzywdzonych przez życie. Wiedząc na co dzień taki ogrom cierpienia, Beth zaczęła z pewnym dystansem podchodzić do własnych problemów. Wystarczająco długo żyła w upokorzeniu. Nadszedł czas z tym skończyć i uwierzyć w siebie.

Stała z podniesioną wysoko głową, ubrana w sukienkę, którą uszyła jedna z podopiecznych, a druga ozdobiła pięknym malunkiem. Ze szklanką gazowanej wody w dłoni witała na otwarciu wystawy tłumnie przybyłych gości.

Wiść o warsztatach szybko rozeszła się po okolicy. Lokalne władze zarzuciły jej, że wbrew obowiązującym przepisom nie zarejestrowała działalności gospodarczej prowadzonej w domu.

Zasugerowano proste rozwiązanie, mianowicie przekształcenie starego magazynu ojca w przestrzeń wystawienniczą. W ten sposób powstały *Nasze Historie*, wystawa malarstwa prezentująca najlepsze prace uczestniczek oraz jej własne, powstałe w ciągu minionych dziesięciu lat.

Wcześniej nie przyszło jej nawet do głowy, że te obrazy kiedykolwiek ujrzą światło dzienne. Za żadne skarby nie chciała pokazać ich światu, ale jedna ściana magazynu-galerii świeciła pustkami. Trzeba było ją jakoś ozdobić. W zasadzie doświadczenie to miało wartość terapeutyczną. Nikt ze zgromadzonych nie miał pojęcia, co skłoniło ją do stworzenia tak mrocznych dzieł, ale tragiczne inspiracje *Naszych Historii* były ogólnie znane.

Ekspozycja była ukoronowaniem terapii przez sztukę, sprzedaż obrazów - wisienką na torcie. Dochód trudno nazwać oszałamiającym, ale w przypadku Kate Harrison było



to pierwsze pięćset dolarów zarobione samodzielnie. Dla matki dwójki uroczych dzieci, przez lata bitej i poniżanej przez męża, ta kwota miała niesłychanie ważne znaczenie.

Beth zdażyła już sprzedać dwa obrazy własnego autorstwa. Uzyskane środki pokryły koszty oprawy pozostałych płócien. Z zaskoczeniem przyjęła fakt, że znaleźli się chętni do zakupu jej najczarniejszych wizji. A już zupełnie nie mogła pojąć, dlaczego ktoś chce je powiesić na ścianie. Sama rozstawała się z nimi z uczuciem ulgi. Dla niej to były kapsuły z przeszłości, tymczasem entuzjaści jej sztuki twierdzili, że są odważne, głębokie i poruszające.

Wystawiała też nowsze prace. Impresjonistyczny akryl ilustrujący męską dłoń o długich delikatnych palcach muskających kobiece wargi. Kolejny, zatytułowany *Kaczka!*, był karykaturalnym zbliżeniem drewnianej kaczki, usadowionej na męskich kolanach.

Na jej oczach ktoś umieścił na nim naklejkę „sprzedane”.

Tylko jedno płótno nie było przeznaczone na sprzedaż. W tej chwili zgromadził się przed nim spory tłum. To właśnie o tym obrazie wspominała lokalna prasa. Dzieło ogromnych rozmiarów pod tytułem *Zatoka Holly*, przedstawiało brzeg morza obserwowany spod wody. Na piasku widoczne były dwie pary ludzkich stóp po dwóch stronach wyrzuconego na mieliznę wieloryba. Obraz namalowała w ciągu dwóch tygodni, zaraz po powrocie z południa. Pracowała w dzień i w nocy, z krótkimi przerwami na sen i posiłki. To pomogło uporać się z bólem i rozczarowaniem.

Jeszcze dwa lata temu w zupełnie inny sposób uśmierzała cierpienie. Nie oznaczało to, że teraz nie zdarzały się momenty słabości, ale nachodziły ją coraz rzadziej i potrafiła sobie z nimi poradzić.

Zwiedzający próbowali odgadnąć, do kogo należały stopy. Prawdę znała tylko Beth. No i Marc.

- Nie mów, że załatwiłaś nowego modela - odezwała się jedna z uczennic Beth, nie odrywając wzroku od wejścia na salę.

Do tej pory portretowały jedynie siedemdziesięciolatka z dłońmi brązowymi od nikotyny. Bardzo chciał pozować nago, chociaż siedział w pokoju pełnym kobiet. Zaskakujący fakt, biorąc pod uwagę, że podczas sesji szkicowały wyłącznie jego dłonie.

Beth obróciła głowę. Chciała zobaczyć, co tak przykuło uwagę kobiety. Zerwała się w popłochu z kanapy i skryła za plecami zwiedzających, nie zważając na zaciekawione spojrzenia. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

W drzwiach stał Marc.

Bezpiecznie ukryta za grupką widzów, obserwowała, jak przechadzał się po sali. Bez większego zainteresowania mijał wystawione prace, instynktów nie zatrzymując się przy tych, które wyszły spod pędzla Beth.

W garniturze wyglądał doskonale, chociaż chyba nie czuł się w takim oficjalnym stroju zbyt swobodnie. Co jakiś czas poprawiał krawat i usiłował podwinąć rękawy marynarki.

Przy jednym obrazie zatrzymał się na dłużej. Zrobił krok do tyłu, w lewo, w prawo. Jakby chciał przyjrzeć się ze wszystkich stron albo rozpoznać znajomy motyw. Akrylowe malowidło przedstawiało stylizowany dom.

Beth czuła się coraz bardziej niezręcznie w swojej kryjówce. Zauważyła, że inni się jej dyskretnie przyglądają. Wzięła głęboki oddech i ruszyła pewnym krokiem przed siebie. W tym samym momencie Marc zmienił przedmiot zainteresowania. Stał w zamyśleniu przed płótnem zatytułowanym *Kaczka!*.

Nagle niespodziewanie się obrócił. Ich oczy się spotkały.

Beth bezskutecznie usiłowała opanować emocje. Stawiała kroki zbyt sztywno, paliły ją policzki. Marc też nie wydawał się zbyt pewny siebie. - Beth.

Sala była wypełniona po brzegi. Ostatnią rzeczą, jakiej Beth pragnęła, był skandal na uroczystym otwarciu jej pierwszej wystawy.

Ujęła go pod ramię i podprowadziła do kolorowej podobizny tłustej kaczki wygodnie odpoczywającej na męskich kolanach. Udawała, że uważnie się jej przygląda. Rozmowa o sztuce była znacznie bezpieczniejsza niż każdy inny temat.

- Poznajesz? - spytała.

Tak chętnie zapytałaby, dlaczego przyszedł, ale w porę ugryzła się w język.

Przeniósł wzrok z obrazu na Beth.

- To nasz pasażer na gapę.

Wracali samochodem z campingu. Prowadziła Beth, od kilku dni szczęśliwa posiadaczka prawa jazdy. Niespodziewanie z tylnego siedzenia wychynęła głowa kaczki. Prawdopodobnie skryła się w samochodzie poprzedniego wieczoru.

- Wrzasnęłaś, jakbyś zobaczyła diabła.

- Przestraszyła mnie. Nagle ujrzałam w tylnym lusterku dziób i oczy jak koraliki. I tak byłam wystarczająco spięta. Chciałam pokazać, jakim świetnym jestem kierowcą.

Z kolei pisk Beth wystraszył kaczkę. Gwałtownie trzepotała skrzydłami, miotając się panicznie po wnętrzu samochodu. Beth o mało nie wylądowała w rowie. Marc usiłował wypuścić ptaka przez okno, co doprowadziło do jeszcze większego zamieszania. Wreszcie wyczerpana usiadła mu na kolanach i rezolutnie kręcąc główką, patrzyła raz na jedno, raz na drugie. Marc przez chwilę zastygł w bezruchu, aż dotarło do niego, że na nowym miejscu czuła się jak w domu.

- Nie jestem pewien, kto mocniej przeżywał rozstanie, kiedy pod koniec podróży zatrzymaliśmy się nad jeziorem i wypuściliśmy ją na wolność. Ty czy kaczka? - żartował Marc. - Ale świetnie ją uchwyciłaś - dodał poważnym tonem.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, spojrział w prawo i skupił uwagę na *Zatoce Holly*. Stał i patrzył jak zahipnotyzowany.

- Po co przyjechałeś? - szepnęła z oczami utkwionymi w stopy na obrazie.

Miała już dość tematów zastępczych.

Postronni obserwatorzy zapewne uznali, że Marc z wyjątkowym skupieniem kontempluje monumentalne płótno.

- Przeczytałem wzmiankę o wystawie w naszej lokalnej prasie. Pisali o wielorybie i o nas.

Wszystko między nami skończone. Czy nie tak powiedział jej wtedy na plaży?

- Przejeżdżałem przez Perth - zaczął z wzrokiem wciąż utkwionym w płótno. Przełknął głośno ślinę. - A zupełnie szczerze, to chciałem się z tobą zobaczyć.

- Ze mną? - Nic więcej nie była w stanie powiedzieć.

- Mam wyjść?

Dla ciebie skoczyłby w ogień... Czy nie tak mówiła jego matka?

- Nie, ale potrzebuję chwili, żeby ochłonąć - przyznała i westchnęła rozdzierająco. Miała świadomość, że budzą coraz większe zainteresowanie zgromadzonych, głównie uczestniczek warsztatów. - Co się stało z wielorybem? Przeżył? - skierowała rozmowę na bezpieczne tory, jak zawsze w trudnych sytuacjach.

Marc zdawał się zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- Wciągnęli go do morza.

- Na dobre?

- Nie jestem pewien, ale chyba za drugim razem się udało.

Beth pokiwała głową.

- Może zrozumiała, że nie ma po co wracać na brzeg.

- Może - zgodził się.

- Postanowiła zacząć nowe życie. Dzielnie walcząc, zasłużyła na szansę. - Uwaga Beth zabrzmiała nieco dwuznacznie, ale nie było to zamierzone.

Marc obserwował przewijający się tłum.

- Możemy porozmawiać na osobności?

Nie było takiej możliwości w żadnym z pomieszczeń. Magazyn wypełniały ekspozycje wystawowe, zwiedzający i artyści. Jedynie w sypialni nie było nikogo, ale Marc nie był tam mile widziany, chyba że w marzeniach i snach.

Skinęła głową, wskazując drzwi prowadzące do ogrodu. Nie był to ogród w pełnym znaczeniu tego słowa, raczej skrawek podwórka ozdobiony roślinami doniczkowymi. Cicho i pusto, idealne miejsce na rozmowę w cztery oczy.

Targały nią sprzeczne uczucia. Ekscytacja i zdenerwowanie. Strach. Ciekawość. Obawa. Dobrze, że pozostał mi jeszcze jeden czysty blejtram, pomyślała. Silne emocje zawsze starała się przelać na płótno.

- Po co przyjechałeś? - spytała z udawaną pewnością siebie.

Taka postawa już raz się sprawdziła. Kiedy były mąż zaczął nachodzić jedną z jej studentek podczas zajęć, Beth odważnie stawiała mu czoła. Nie była przekonana, czy i teraz da radę.

- Chciałem z tobą porozmawiać.

- Więc słucham.

Oparł się o betonowy słupek z poidłem dla ptaków, zaciskając mocno palce wokół ozdobnego gzymsu.

- Przykro mi, że rozstaliśmy się nad zatoką bez pożegnania.

Beth słuchała w milczeniu.

- Miałem wiele czasu na przemyślenie tego, o czym wtedy rozmawialiśmy, i na ocenę swojej reakcji. Postanowiłem cię odszukać.

Serce Beth zabiło mocniej. Na chwilę zamknęła oczy, by nie zobaczyć w nich iskiełek nadziei.

- Twoi rodzice nie chcieli podać adresu.

Wiedzieli, jak bardzo przeżyłam tamto spotkanie, pomyślała.

- Za wszelką cenę chcą mnie chronić - odparła wymijająco.

Stała wyprostowana jak struna, z rękami splecionymi na piersiach. Mowa jej ciała nie uszła uwadze Marca.

- Może usiądziesz? - zaproponował.

- Nie, dzięki.

Nie nalegał, tylko spojrzał jej prosto w oczy.

- Chciałem cię przeprosić za moje zachowanie tego ranka nad zatoką Holly.

Tylko tyle? Nie, nie pokaże mu, jak bardzo zranił jej uczucia. Odpowiedziała nieco wymuszonym uśmiechem.

- Jestem ci winny kilka słów wyjaśnienia.

- Wydawało mi się, że powiedziałeś wszystko, co leżało ci na sercu.

Odwrócił wzrok.

- W tej kwestii nic się nie zmieniło. Ale jest jeszcze coś... Może jednak usiądziesz?

Beth widziała, jaki ból sprawia mu ta rozmowa. Chciałaby wziąć go za rękę i pocieszyć. Zamiast tego skinęła głową i przycupnęła na ogrodowym krzeselku. Marc zajął miejsce na drugim.

- Nie mogę sobie darować, że pozwoliłem ci odejść w taki sposób, z zachwianym poczuciem własnej wartości. Byłaś ze mną szczerą do bólu, jak prawdziwy przyjaciel. Zasłużyłaś na znacznie więcej, niż ci ofiarowałem.

- Powiedziałeś, że nasza przyjaźń to przeszłość.

- Tak.

Beth wstrzymała oddech i zamrugła gwałtownie. Byle tylko nie wybuchnąć płaczem.

- Ale powody są inne, niż myślisz. Właśnie o tym chciałem porozmawiać. Rozumiem, że ostatnie lata były dla ciebie ciężkie. Wystarczy spojrzeć na obrazy na ścianach. One mówią o twojej samotnej walce więcej niż słowa.

Słuchała w milczeniu, od czasu do czasu potakując głową. Lata terapii nauczyły ją, że powinna raczej koncentrować się na swojej sile, a nie bez końca przepraszać za słabości.

- Nie potrzebuję litości.

Zmarszczył brwi.

- Jasne, że nie. Doskonale sobie radzisz.

Uśmiechnęła się smutno.

- Podobno sami jesteśmy odpowiedzialni za własne szczęście. Postanowiłam wyjść mu naprzeciw.

- Spotykasz się z kimś? - spytał pozornie beznamiętnym tonem.

Co takiego? Przecież to znaczyłoby, że zapomniała o Marcu, a jego wspomnienie było trwalsze od nieudanego małżeństwa. Wiedziała, że długo sobie z tym nie poradzi.

- Nie muszę. Radzę sobie sama. Jestem wystarczająco silna.

Marc zdawał się trochę zbity z tropu, jakby żałował, że przyszedł.

- Powiedz wreszcie, o co ci chodzi - zażądała.

- Chciałem... Kiedy powiedziałem, że nasza przyjaźń należy do przeszłości, mogłaś zrozumieć, że nie jesteś mnie warta.

Zaśmiała się gorzko.

- W pewnym sensie.

- Bardzo żałuję, że to tak zabrzmiało. Mogło zachwiać twoim postanowieniem...

Przeszył ją dreszcz chłodu. Zastanawiała się, czy Marc zawsze będzie ją postrzegał przez pryzmat uzależnienia.

- Bałeś się, że znowu zacznę szukać pocieszenia w alkoholu? Sądziłeś, że masz taką moc? - spytała, z trudem ukrywając wzburzenie.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz.

Beth zastygła w bezruchu, nie mogąc zebrać myśli.

- Dlaczego właśnie wtedy? Co chciałaś osiągnąć?

- Ja... nic. Nie planowałam tego. Uznałam, że powinieneś wiedzieć. Nad zatoką byliśmy tak blisko, dopóki wszystkiego nie zepsułeś kilkoma złymi słowami. Wtedy bardzo mnie zaboląły.

- Dlatego przyjechałem to wyjaśnić. Byłem w szoku. Kiedyś oddałbym wszystko za takie wyznanie.

Beth niełatwo było zaskoczyć, ale tym razem zamurowało ją z wrażenia.

- Byłaś ze mną szczerą do bólu i chciałbym odpłacić ci tym samym. Wtedy mnie lepiej zrozumiesz.

- A czego ja niby nie rozumiem?

- Dlaczego nie możemy się przyjaźnić.

Słowa Marca podziałały na Beth jak zimny prysznic. Uświadomiła sobie, jak złudne były jej nadzieje.

- Przez dziewięć lat byłaś dla mnie wszystkim - zaczął, nabierając powietrza. - Najlepszym kumplem, przyjacielem, któremu mogłem się ze wszystkiego zwierzyć, inspiracją wszystkich działań. Dorastałem, a wraz ze mną rosło uczucie do ciebie. Byliśmy jednością, i tak miało pozostać na zawsze. Nie wyobrażałem sobie, że może być inaczej.

Ja też, chciała powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. Zaciskała palce wokół poręczy krzesła, aż paznokcie wbijały się do bólu w dłonie.

- Dokładnie pamiętam, kiedy spojrzałaś na mnie jak na mężczyznę. Od tego momentu zacząłem snuć plany o wspólnej przyszłości. Chciałem studiować biologię, żeby być przy tobie. Nawet z Tasmin Major zadawałem się dla ciebie. Wyobrażałem sobie nasz pierwszy pocałunek. Gdzie i kiedy się zdarzy, co ci wtedy powiem.

- Nigdy mi o tym nie wspominałaś. Dlaczego teraz?

Spojrzał w ziemię.

- Uzależnienie matki miało wpływ na całe moje życie. Zostałem w pewnym sensie skrzywiony. To się nie może powtórzyć - powiedział łamiącym się głosem.

Miał dwadzieścia osiem lat, ale Beth ujrzała w nim zagubionego ośmioletniego chłopca. Wiedziała, że nie może podjąć ryzyka i narażać go na dodatkowe cierpienie, tak jak wiedziała, że na zawsze pozostanie trzeźwą alkoholiczką.

- Kiedy byliśmy młodszy, sądziłam, że stanowimy dwie połówki tego samego jabłka. Zerwanie było najtrudniejszą rzeczą w moim życiu, ale byłam przekonana, że postąpiłam właściwie. Ze względu na ciebie. - Zignorowała pytające spojrzenie Marca. - Później latami obwiniałam się, że podjęłam złą decyzję.

- Tu chodzi o mnie, a nie o ciebie.

- Daj spokój. Długo trwało, nim uwierzyłam, że mimo uzależnienia mogę być wartościowym człowiekiem. Tymczasem okazuje się, że to nieprawda.

- Beth, przestań.

Była zbyt urażona, by zamilknąć, żadna siła nie mogła jej w tej chwili powstrzymać.

- Patrzysz na mnie przez pryzmat nałogu.

- Nieprawda - zaprotestował.

- Mógłbyś powiedzieć z ręką na sercu, że potraktowałbyś mnie tak samo, gdybym nie była alkoholiczką, tylko kobietą wracającą po wielu latach z dalekiej podróży? Że nie wróciłbyś do planowania wspólnej przyszłości, nie myślał o namiętnych pocałunkach, leniwych porankach w łóżku, o gromadce dzieci, które mogłyby wypełnić radością wielki, pusty dom na południowym wybrzeżu?

Ona sama często o tym śniła tuż przed przebudzeniem, kiedy sen jeszcze mieszał się z rzeczywistością.

- Beth...

Wiedziała, że pragnął zwykłego, normalnego życia. Czy byłby z nią szczęśliwy? Nie wierzył w to, była tego pewna.

- Może jesteśmy sobie przeznaczeni? Minęło tyle lat, nie poznałeś nikogo, a mnie odrzucasz, nie dając szansy udowodnienia, że pokonałam swoje słabości.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że taki mężczyzna jak Marc bez trudu znalazłby partnerkę na całe życie. Życzyła mu tego z całego serca, a jednocześnie obawiała się takiego scenariusza.



- To mój problem. Nadal prześladowają mnie demony z przeszłości. Pół życia przecierpiałem u boku osoby uzależnionej. Mam tego dość.

Beth poczuła, jakby przygniótł ją ogromny ciężar. A zatem życie z nią jawiło mu się pasmem cierpienia.

Czemu nie spróbujesz we mnie uwierzyć? - pomyślała ze smutkiem.

Widząc zboląłą twarz Beth, przeklął pod nosem.

- Użyłem niewłaściwych słów, przepraszam.

- Nie musisz. Powoli dociera do mnie, jak jestem postrzegana przez innych. - Z trudem powstrzymała się od bardziej sarkastycznego komentarza. Odważyła się spojrzeć mu w oczy. - Twoja dawna Beth jest obok ciebie. Robi wszystko, co w jej mocy, żeby powrócić do normalnego życia, żeby znaleźć szczęście. Tylko ty tego nie dostrzegasz.

Zapanowała długa chwila milczenia, przerywana stłumionymi odgłosami dobiegającymi ze środka.

Wreszcie Beth przerwała ciszę:

- Wiem coś o życiu z osobą uzależnioną. Nie zapomniałam, jak to na mnie wpłynęło, a przecież byłam wtedy dorosła. Od ponad dwóch lat pracuję nad sobą. W ciągu ostatnich czterech miesięcy udało mi się przekonać dwadzieścia kobiet, że nie wolno im zapominać o potrzebie samorealizacji, że każdy zasługuje na dobre życie. Jak mogłabym nie życzyć ci szczęścia?

Ogarnął ją ogromny smutek i żal. Wraz z bolesną prawdą dotarło poczucie straty.

- Nie pasujemy do siebie, Marc. Chyba nigdy nie byliśmy sobie pisani, chociaż łączyła nas przyjaźń. Rodzice zauważyli to dużo wcześniej i dlatego... - Ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć za dużo. Zaczepnęła głęboko powietrza. - Odstawiłam alkohol na dobre. Udało mi się to osiągnąć o własnych siłach.

- Wiem.

Jednak najwidoczniej świadomość tego faktu mu nie wystarczała. Nie musiał nic mówić, wyczytała to z jego spojrzenia i gestów. Poczowała pod powiekami łzy, ale płacz nie rozwiąże problemu.

- Zawsze w duchu podejrzewałybyś, że będę taka jak twoja matka - szepnęła. - Nie umiałbyś mi zaufać, a to byłoby dla mnie bolesne. Muszę otaczać się silnymi, pozytywnie myślącymi ludźmi. Nie potrzebuję wątpliwości i potępienia.

- Przepraszam - szepnął zmieszany.

- Nie trzeba. Wyobraź sobie wspólne życie pełne podejrzeń i oskarżeń. Wreszcie zaczęlibyśmy się nienawidzić.

Albo żyli długo i szczęśliwie, podpowiadał wewnętrzny głos, który całkowicie zignorowała.

- Co teraz z nami będzie? - spytał bezradnie.

- Nie wiem - wzruszyła ramionami. - Chyba rzeczywiście wszystko między nami skończone.

Przyglądał się długo, jakby chciał zapamiętać najmniejszy szczegół jej twarzy. Odkaslnął.

- Powinienem wyjść.

- Tak sędzę.

- Czy jest coś złego w tym, że bardzo chciałbym się do ciebie przytulić?

- Nie powinieneś tego mówić.

Skinął twierdząco głową. W końcu skierował się do drzwi.

- Życzę ci szczęścia, Beth. Zaslługujesz na to, co najlepsze.

Tylko nie na ciebie, pomyślała z goryczą.

- Ty też kogoś spotkasz. Musisz się tylko rozejrzeć. Ona być może pojawi się nagle pewnego ranka na progu twojego domu - powiedziała, choć w głębi ducha te słowa bardzo zabolęły.

- Wątpię - odparł. - Coś takiego zdarza się raz w życiu.

Przypomniała sobie poranek, kiedy stanęła przed nim pełna obaw, ale i nadziei. Wydawało się, że to było całe wieki temu.

Ponownie znaleźli się w gwarnym pomieszczeniu. Ożywione rozmowy zwiedzających kontrastowały ze stanem umysłu Beth. Czowała się odrętwiała i pusta. Nawet zaciekawione spojrzenia podopiecznych nie wyrwały jej z tego stanu.

- Podobizna wieloryba nie jest na sprzedaż? - spytał Marc, wskazując ruchem głowy obraz zatytułowany *Zatoka Holly*.

Nie mogła pozwolić, żeby ich ostatnia rozmowa była wymianą obojętnych uprzejmości.

- To dla mnie symbol życiowego przełomu, nigdy się z nim nie rozstanę.

Kiedy odprowadzała go do drzwi, poruszała się jak automat.

Marc spojrzał na płótno przedstawiające dom, które już wcześniej przyciągnęło jego uwagę.

- A ten?

- Wszystkie są do kupienia, oprócz tego jednego.

- Przemawia do mnie, choć nie potrafię dokładnie wyjaśnić dlaczego. Kolory, pusty dom. Jest kwintesencją wszystkiego, co... - zawahał się, szukając słów - co zaszło między nami.

- Weź je - zaproponowała bez chwili wahania.

Sięgnął do tylnej kieszeni.

Beth stanowczo pokręciła głową.

- To prezent.

- Ale artystka... - usiłował protestować.

- Artystka chce ci je podarować - powiedziała, zdejmując płótno ze ściany. - Od początku należało do ciebie - dodała, ostatni raz spoglądając na dwa słowa wypisane małymi literami na odwrocie: Janice Duncannon.

Miała wrażenie, że jeszcze nigdy nie dzieliła ich tak wielka przepaść. Wszystkie jej wysiłki poszły na marne.

- Do widzenia, Marc. - Szybko zamknęła za nim drzwi, oszczędzając sobie bólu pożegnania.

Oparła się ciężko o ścianę. Zatrzymała wzrok na obrazie *Zatoka Holly*, który w trudnych chwilach dodawał jej siły. Skierowała kroki do sypialni. Tylko tam czuła się bezpiecznie. Tam mogła się spokojnie wypłakać i powoli dochodzić do siebie. Wiedziała, że tym razem będzie to bardzo długi proces.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Beth otarła pot z czoła i cofnęła się o krok, żeby lepiej przyjrzeć się swojemu dziełu. W tej części Australii nawet wiosną zdarzały się trzydziestostopniowe upały i tak właśnie było tego dnia.

Obudziła się nad ranem pełna inspiracji i jeszcze w łóżku zaczęła szkicować. Początkowo nie miała jasno sprecyzowanej koncepcji. Jakby znikąd powoli wyłaniały się kształty dwóch spadochroniarzy w nieziemskiej scenerii, utrzymanej w głębokich błękitach oraz odcieniach złota i srebra.

Nie zjadła nawet śniadania, zadowolając się kilkoma pospiesznie połkniętymi krakersami. Napędzała ją adrenalina. Jakiś wewnętrzny instynkt dyktował barwy i kształty, które pospiesznie przenosiła na płótno. W miarę upływu czasu kompozycja stawała się coraz bardziej szczegółowa. Dobrze zbudowany astronauta szybował wokół stylizowanego statku kosmicznego, usiłując coś złapać. A może kogoś.

Zamiast obiadu zrobiła sobie filiżankę herbaty. Popijając bursztynowy płyn, doznała olśnienia. W pośpiechu chwyciła pędzel.

Nowa wizja, i znów więcej szczegółów. Astronauta próbuje uchwycić anioła w białej szacie, z powiewającymi na wietrze długimi platynowymi włosami. Nie, nie anioła. Księżniczkę.

Księżniczkę przestworzy z marzeń Marca. Tyle że na pierwszy rzut oka było widać, że to księżniczka upadła. W przekrzywionej koronie, desperacko wyciągała rękę do astronauty.

Im dłużej przyglądała się swojej pracy, tym więcej skojarzeń przychodziło jej do głowy. Dwie postaci niebezpiecznie dryfowały w przestrzeni kosmicznej. Wydawało się, że silna męska dłoń astronauty, okryta srebrną rękawiczką, mocno przytrzymała kruchą kobiecą dłoń. Platynowe włosy oplatały sylwetkę astronauty.

Z wrażenia zabrakło jej tchu. Mężczyzna chronił kobietę, ale i sam szukał u niej ratunku. Możliwe, że dostrzegł w niej szansę ocalenia.

Albo jedno próbowało uchronić drugie przed upadkiem w bezbrzeżną otchłań. Beth była głęboko przeświadczona, że nic złego nie przytrafi się jej fikcyjnym bohaterom, dopóki będą razem.

Jakaś wewnętrzna siła nie pozwalała jej zaprzestać pracy. Musiała określić targające nią emocje. Jedynym sposobem, jaki знаła, było przelanie ich na płótno. To takie oczyszczające przeżycie.

Ostatnie tego dnia pociągnięcie pędzla. Z satysfakcją spojrzała na wilgotne jeszcze płótno. Osiągnęła wewnętrzny spokój, choćby na krótko.

Może Marc nie potrzebował jej przyjaźni, ale przecież ona mogła zachować przyjaźń wobec niego. Może Marc nie był w stanie jej kochać, ale to nie przekreślało jej uczucia do niego.

Ta myśl napełniła ją spokojem. Rozprostowała plecy. Dopiero teraz poczuła się głodna i zauważyła, jak jest późno. Pędem wbiegła pod prysznic.

Nie chciała się spóźnić na spotkanie z Janice.

Z pokrzepiającym uśmiechem podała matce Marca filiżankę świeżo zaparzonej kawy.

Tego dnia Janice Duncannon wydawała się jeszcze bardziej zdenerwowana niż ostatnio. Od momentu otwarcia wystawy spędzały razem wiele czasu. Janice towarzyszyła Beth w trakcie kilku spotkań grupy AA. To okazało się dla niej łatwiejsze niż szukanie wsparcia dla uzależnionych od środków farmakologicznych.

Wiedziała jednak, że tam jest jej miejsce, tylko jeszcze brakowało jej odwagi. Beth bardzo ją wspierała.

Przecież to właśnie syn Janice pomógł jej podnieść się z dna. W ten sposób chciała spłacić dług wdzięczności.

On tego nie chciał, dlatego wybrała kogoś, kto jest mu bliski.

Kiedy Janice pierwszy raz pojawiła się na zajęciach plastycznych u Beth, ta od razu zauważyła oznaki wyniszczenia nałogiem. Zauważyła jednak również ogromną determinację. Janice zmagająca się z uzależnieniem w samotności. Była zbyt dumna, żeby szukać pomocy u jedyne go syna. Przecież kiedyś w narkotycznym zamroczeniu wyrzuci-

ła go na ulicę. Zapewniał jej dach nad głową i wyżywienie. Nie mogła, nie miała prawa oczekiwać więcej.

Między kobietami nawiązała się swoista więź. Dzielili je duża różnica wieku, ale obie doskonale wiedziały, czym jest uzależnienie. W dodatku obie kochały i utraciły wspaniałego mężczyznę, Marca.

Janice rozglądała się nerwowo dokoła, mocno zaciskając palce.

- Co się stało? - spytała Beth. Odpowiedziało jej niepewne spojrzenie zmęczonych życiem oczu. Po chwili dostrzegła w nich błysk determinacji.

- Wszystko w porządku, ale... Chyba powinnam cię wcześniej uprzedzić.

Od drzwi dał się słyszeć znajomy głos. Ten głos często słyszała w snach, ale tym razem zdawał się realny.

- Przepraszam, przepraszam. - Marc przeciskał się przez tłum prosto w ich kierunku.

Janice niepewnie obserwowała sytuację, z poczuciem winy, ale i z pełnym napięciem oczekiwaniem.

- To nie był dobry pomysł - zauważyła Beth.

- Zadzwoił, kiedy znalazł moje imię na odwrocie obrazu - szepnęła Janice. - Po czterech latach milczenia. Nie mogłam zmarnować takiej okazji.

Beth nie miała prawa jej osądzać. Z pewnością Janice działała w dobrej intencji.

Marc zmierzał prosto w kierunku matki. Nagle spojrzał w lewo, zbladł i zastygł w bezruchu.

Nie miała czasu na ucieczkę.

Po chwili ruszył do przodu. Beth zdawała się słyszeć bicie własnego serca.

- Beth.

- Marc.

Przenosił wzrok z jednej na drugą. Widok obu w pomieszczeniu pełnym uzależnionych osób był ponad jego siły.

- To twoja sprawka - zwrócił się pełnym żalu, ale i oskarżycielskim tonem do matki.

Janice Duncannon usiłowała opanować drżenie rąk, ale ten odruch występował u niej niezależnie od sytuacji.

- Gdybym ci powiedziała, pewnie byś nie przyszedł.

- Sądziłem, że to ma być spotkanie z twoją grupą wsparcia. A nawiasem mówiąc, co robisz wśród alkoholików? - obniżył głos, żeby nie dotknąć zgromadzonych. Jakby i bez tego nie wiedzieli, kim są. - Dlaczego jesteś z Beth? - drażył dalej.

- Przyjaźnimy się - odparła krótko Janice.

- Świetnie. Wymiana doświadczeń nałogowców.

Beth wstrzymała oddech.

Janice nie zamierzała tolerować tego typu uwag.

- Widzisz, poza miłością do ciebie łączy nas coś więcej - odparła z sarkazmem.

W tym momencie Beth zapragnęła zapaść się pod ziemię.

- Sądziłem, że kochasz tylko prochy - Marc ponownie zwrócił się do matki.

Janice pobladła. Jej mina wyrażała tragiczną mieszaninę uczucia dumy, cierpienia i nadziei. Siedziała wyprostowana jak struna. Beth wiedziała, że nawet łagodniejsze słowa potrafiły ją ranić. Teraz była na dobrej drodze. Powoli odzyskiwała wiarę w siebie.

- Mów, co chcesz, ale to z troski o ciebie poprosiłam cię o przyjście. Musisz porozmawiać z Beth.

- Nie mam pojęcia, co ci naopowiadała - zachnął się Marc.

- Absolutnie nic. Jest wobec ciebie lojalna. Ale fakt, że nigdy o tobie nie wspomina, mówi sam za siebie.

- Janice - jęknęła Beth.

- Powinienem się domyślić, że to jakaś pułapka, a nie szczerza prośba o wsparcie w leczeniu.

Przyszedł. To znaczy, że potrafi wybaczać, przemknęło przez głowę Beth. Choć później się okazało, że został zwabiony podstępem.

- Poradzę sobie z uzależnieniem - kontynuowała Janice.

Marc dawno nie słyszał w głosie matki takiej determinacji.

- A ty jesteś winny swojej przyjaciółce przynajmniej parę słów pożegnania.

- Pożegnaliśmy się na dobre dwa miesiące wstecz.

- Przyjaźniliście się ponad dziesięć lat - Janice nie dawała za wygraną.  
- A jeszcze dłużej nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu, więc o czym tu mówić.  
- Tak sądzisz? - Janice nie kryła oburzenia. - O ojcu też tak myślisz? Bo nie ma go wśród żywych dłużej, niż go znałeś.

Zdawało się, że Marc zaraz straci cierpliwość i wybuchnie.

- Przepraszam, muszę wyjść...

- Zostań - matka i syn zawołali prawie jednocześnie.

Marc spojrzał badawczo na Beth.

- Sądziłem, że nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia. A ty szukasz kontaktu pod pretekstem przyjaźni ze starą, schorowaną kobietą.

- Tylko nie starą, Marcus. Mam dopiero pięćdziesiąt dwa lata.

- Wyglądasz o wiele starzej.

- Uzależnienie od silnych środków wyniszcza organizm - wyjaśniła spokojnie i głośno, jakby zwracała się nie tylko do Marca, ale do całej sali.

Wśród zgromadzonych zapanowało nagłe milczenie. Chłodna dłoń Beth ujęła drżącą rękę Janice.

- Wiem, że kierujesz się dobrymi intencjami, ale nie angażuj się w naszą sprawę. Masz możliwość pogodzenia się z synem. Nie zaprzepaść tej szansy z mojego powodu. - Następnie zwróciła się do Marca: - Nie zamierzam zmuszać cię do niczego na siłę. Biorąc pod uwagę ostatnie lata mojego życia, możesz być zaskoczony, że starcza mi godności, by cię o nic nie prosić. Dotrzymałam danego słowa i starałam się trzymać od ciebie z daleka. Chociaż co noc płakałam i myślałam o tobie.

- Ja też nie szukałem kontaktu - burknął pod nosem.

Zaczerpnęła powietrza i spojrzała mu prosto w oczy.

- Co się stało, to się nie odstanie. Nigdy cię nie przekonam, jak bardzo żałuję swojej decyzji. Miałam wtedy szesnaście lat. Właściwie byłam jeszcze dzieckiem. Poniosłam przykre konsekwencje i nie mogę płacić do końca życia za swój błąd, Marc. Nawet tobie.

- Chciała powiedzieć znacznie więcej, ale napływające łzy utrudniały jej mówienie. Postanowiła, że już nigdy więcej nie rozplacze się na oczach Marca. - Do zobaczenia w przyszłym tygodniu, Janice. - Podniosła się i ruszyła do wyjścia.



- Zostań. To ja powinienem wyjść, ty jesteś wśród swoich.

Poczuła rozpaczliwy ból, a sądziła, że Marc nie jest w stanie już bardziej jej zranić.

Podniósł się, ale Janice przytrzymała go za rękaw.

- Byłeś zakochany w tej dziewczynie od piątej klasy. I widzę, że nadal jesteś. Miłość to ogromny dar. Nie wolno go odrzucać. To moja wina, że wtedy cię zostawiła - zawołała Janice.

- Proszę, nie - jęknęła Beth.

- To na moją prośbę odeszła - Janice z całych sił wbiła palce w rękę syna. - Błagałam o to. Nie mogłam znieść, że ją tak kochasz, że planujesz studia i wyjedziesz. Chciałam cię przy sobie zatrzymać. Nikogo oprócz ciebie nie miałam.

Marc pobladł i w milczeniu przyglądał się matce.

- To dla niej, nie dla McKinleya? - spytał, patrząc na Beth.

- Wierzyłam, że tak będzie najlepiej. - Chwyciła torebkę i zaczęła się bezceremonialnie przepychać przez tłum. Wszyscy udawali, że nic nie słyszeli i nie widzieli. Podobne, o ile nie bardziej wstrząsające wydarzenia, były udziałem każdego z nich.

Pragnęła się gdzieś schować. Oczywisty wybór padł na dach.

Przeskakując po dwa schodki, pokonała cztery piętra. Z trudem łapiąc oddech, patrzyła na migające w oddali światła miasta. Siąpił deszcz. Wcisnęła się w osłonięty od wiatru kąt tuż za przewodem wentylacyjnym.

Kiedy po zaledwie kilku minutach usłyszała skrzypienie drzwi, wiedziała, że źle wybrała kryjówkę.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? - spytała zrezygnowana.

- Zastanowiłem się, gdzie ja bym uciekł na twoim miejscu.

Milcząc, stali w półmroku, nie zwracając uwagi na siąpiący deszcz.

- Przepraszam za moje zachowanie. - Wydawał się autentycznie zmieszany.

- Nikt nie lubi takich niespodzianek.

Roześmiał się z przymusem.

- Obie naraz... to trochę za dużo. - Rozejrzał się dookoła. - Przyjemnie tu - zauważył.

Beth nie wiedziała, czy ma się na niego gniewać, czy cieszyć, że przyszedł.

- Potrzebowałam chwili samotności. Często tu zaglądam po spotkaniach AA, żeby zebrać myśli i nacieszyć się widokiem.

- Przysięgam, nie wiedziałem, że będziesz. Inaczej bym nie przyszedł - zmienił temat.

Beth nie była psychicznie gotowa na kolejną poważną rozmowę i na wysłuchiwanie zapewnień o uczuciach, z których i tak nic nie wynika.

- Nie możemy wszystkiego roztrząsać co kilka miesięcy. To zbyt bolesne - powiedziała.

- Nie chciałem cię zranić.

- Ale to ty otwierasz zamknięte drzwi, kiedy dzwonisz do moich rodziców albo kupujesz przez agenta mój obraz.

- Ciągle o tobie myślę. Nie mogę przestać. Szukam ukojenia w kontaktach z osobami, które są ci bliskie. Bardzo się staram, ale to jest silniejsze ode mnie. Podnoszę słuchawkę, wykręcam twój numer. Jakimś cudem rozłączam się, zanim odbierasz.

- Witaj w moim świecie - odparła.

- To nie to samo - zachnął się Marc.

- Bo nikogo nie krzywdzisz? Oboje wiemy, że to nieprawda. Mam nadzieję, że kiedyś wspomnisz kobietę, a dopiero później osobę uzależnioną, i odpowiesz sobie na pytanie, dlaczego ciągle do mnie wracałeś.

Miała rację. Tak było, odkąd przyznała się do nałogu. Wykreślił ze swego słownika termin „niepijaca”, a skoncentrował się na słowie „alkoholiczka”. To oznaczało, że była słaba. A on najbardziej na świecie obawiał się słabości.

Właściwie nie miał moralnego prawa oceniać siły woli. Wystarczyło, że znalazł się w jednym pokoju z Beth, a już bardzo pragnął jej dotknąć. To on był tym zaślepionym uczuciem nastolatkiem, o którym wspominała na plaży, tłumacząc mechanizm uzależnienia. W dodatku nigdy nie uwolnił się od tej obsesji.

Ależ ze mnie hipokryta, pomyślał. Beth jest tylko człowiekiem. Jej organizm domagał się alkoholu, a ona dzielnie walczyła. Blask oczu, świeża cera i jedwabiste włosy świadczyły o zwycięstwie.

Mimo dziesięcioletniego nałogu wykazała się taką siłą, jakiej jemu brakowało przez całe życie. A i teraz nie potrafił powstrzymać się od pretekstu, żeby się z nią zobaczyć.

Szybko podjął bolesną decyzję. Zaniecha wszelkich kontaktów nie tylko dlatego, że prosiła o to Beth. Musi sprawdzić, czy wystarczy mu siły woli. Jeśli nie, już nigdy nie będzie nikogo oceniać.

TLR

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wytrwał w postanowieniu pełne cztery tygodnie. Jednak Beth nie mogła go zbyt-  
nio winić. Natychmiast odpowiedziała na mejla z zaproszeniem na przejażdżkę statkiem.  
Na usprawiedliwienie powtarzała sobie, że powinni się pożegnać. Trzeci raz.

Masochistka.

- Nie wyobrażam sobie, jak można tak codziennie - zauważyła Beth z wzrokiem  
utkwionym w przeciwległy brzeg. To był jej sposób na powstrzymanie choroby morskiej.  
Tymczasem *Libertine* coraz silniej kołysała się na falach zatoki. Zatoka Holly.

- Oddychaj głęboko. Przyzwyczaisz się - odezwał się Marc zza steru.

- To chyba niemożliwe - rzucił korpulentny rudowłosy Amerykanin, przyciskając  
do ust torebkę.

Nad głowami pasażerów górnego pokładu krążyły mewy w oczekiwaniu na prze-  
kąskę. Ktoś z dołu rzucił im kawałek bułki. Zapikowały po nią z przeraźliwym piskiem,  
co jeszcze bardziej rozstroiło skołatane nerwy Beth.

- Dzięki, że przyjechałaś - szepnął Marc.

- Długo się wahałam. Sądzę, że powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powie-  
dzenia. Nic nas nie łączy. Odrzuciłeś moją przyjaźń rok temu. Później zadałeś sobie trud,  
żeby przyjechać do Perth i powtórzyłeś dokładnie to samo. Trzeci raz przypomniałeś mi  
o tym na dachu. Co teraz?

- A jednak przyjechałaś - rzucił z przekąsem.

Nie da się ukryć. Po otrzymaniu zaproszenia stoczyła wewnętrzną walkę, ale pra-  
gnienie spotkania zwyciężyło.

- Zaplanowałem ten rejs z myślą o tobie.

- Dlaczego? - Nie mogła dojrzeć wyrazu jego oczu skrytych za twarzowymi okula-  
rami, które miały chronić przed słońcem, a w istocie czyniły go jeszcze bardziej sexy.

- Zaraz się przekonasz - odpowiedział, wyłączając silnik.

Nagle potężny strumień wody poderwał ją na równe nogi. Turyści z okrzykami za-  
chwytu rzucili się do burty. Dźwięki uruchomionych kamer zagłuszyły pisk mew. W

niewielkiej odległości od *Libertine* wyłonił się z wody wieloryb, wystrzelił z nozdrzy fontannę wody, zaczerpnął powietrza i znikł tak nagle, jak się pojawił.

Ale zaraz ukazał się następny, po nim kolejne. Beth zdała sobie sprawę, że są w samym środku stada wielorybów. Natychmiast przypomniała sobie noc na plaży. Ciekawe, czy tamta samica przeżyła.

- Jak tu trafiłeś? - spytała.

Cofnął się o krok i przykrył jej ramiona bluzą. Wspomnienia nasuwały się same.

- Odkryłem to miejsce przypadkowo dwa tygodnie temu. Bywają tu codziennie, żeby zażyć kąpiele w płytkiej wodzie.

- Płytką to pojęcie względne - zauważyła Beth.

Doliczyła się przynajmniej dwunastu wielorybów. Wyłaniały się na powierzchnię solo, parami i w większych grupach. Przyglądała się popisom ogromnych, ciemnych ssaaków z zapartym tchem. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Wreszcie jeden obrócił się brzuchem do góry tuż koło statku. Była przekonana, że łypnął na nich okiem.

Beth z okrzykiem radości zwróciła się do Marca.

- To nie koniec - szepnął, kładąc palec na ustach.

I wtedy to się stało. Najpierw wyłonił się potężny grzbiet napędzany ogonem jak śmigłem, a po chwili płetwy ogonowe uniesione w niemym geście pozdrowienia. Monumentalny, piękny, dostojny. Perfekcyjny, gdyby nie blizna w kształcie strzały.

Beth zaschło z wrażenia w gardle.

- To nasz wieloryb - wykrztusiła, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

Marc przytulił policzek do jej włosów.

- Jeszcze jedna niespodzianka - odezwał się po chwili.

Podążyła wzrokiem w kierunku wyciągniętej dłoni. Mrużąc oczy, patrzyła na lśniąca, pustą taflę oceanu.

- Marc.

Młode, nie większe od ogona dorosłego wieloryba, wyłoniło się z wody. Wygięło grzbiet, naśladując ruch matki.

- Myślę, że ocaliliśmy ciężarną orkę - szepnął jej prosto do ucha. Był tak blisko, że poczuła na twarzy jego przyspieszony oddech.

Nie potrafiła dłużej opanować emocji. Łzy radości przemieszanej ze smutkiem spływały jej po twarzy. Może właśnie w głębi duszy takiego rozstania oczekiwała. Przecież nie czuli do siebie nienawiści. Po prostu nie mogli być razem. Tak jak wieloryby i ludzie - instynktownie Ignący do siebie, a jednak stanowiący dla siebie zagrożenie.

Słońce powoli znikło za linią horyzontu. Pełni wrażeń turyści, jeden po drugim, opuszczali pokład.

Marc objął ramieniem Beth i gładził po włosach. Beth zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dziękuję. - Cmoknęła go w policzek. - Koniec gierki. Chyba właśnie tak miało wyglądać nasze ostateczne pożegnanie.

- Nadal tego chcesz? - szepnął.

- Marc, proszę. Nie wracajmy do tematu. Nic się nie zmieniło.

- Beth, ja się zmieniłem. Po naszym ostatnim spotkaniu miałem okazję wysłuchać zwierzeń nałogowych alkoholików. Opowieści o ich codziennych zmaganiach i porażkach. Próbowałem wczuć się w ich sytuację. I w twoją.

Słuchała z wypiekami na twarzy.

- Co więcej, rozmawiałem długo z matką. Widujemy się bardzo często. To zasadniczo zmieniło mój punkt widzenia. - Zawahał się chwilę. - Do tej pory sądziłem, że uzależnienie jest oznaką słabości. Ty mi udowodniłaś, że to tak samo niszcząca siła jak obsesyjne zauroczenie nastolatka, a taki stan świetnie znam z własnego doświadczenia. Teraz zrozumiałem, ile miałaś odwagi, żeby stawić temu czoła. - Spojrzał w przestrzeń i po chwili mówił dalej: - Wykazałaś się taką siłą woli, na jaką ja nigdy bym się nie zdobył. Dziesięć lat temu, kiedy sądziłem, że wykreśliłaś mnie ze swojego życia, myliłem się. Zrobiłaś to przecież dla mnie, a ja obarczałem winą niewłaściwą osobę. Dotrzymałaś danego słowa, trzymałaś się ode mnie z daleka, a ja przeżywałem mękę. Cały czas szukałem pretekstu, żeby się z tobą zobaczyć. Uznałem, że jesteś słaba, bo to prostsze niż przyznanie się do własnej słabości. Zabrakło mi siły charakteru, by o ciebie walczyć. Wolałem się poddać. Może gdybym był bardziej stanowczy dziesięć lat temu, wszystko potoczyłoby się inaczej. Miałem kolejną szansę na plaży i przy następnych spotkaniach. Zawiodłem...

- Marc, przestań - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

- Beth, cały czas myślałem tylko o tym, żeby już nikt mnie nie zranił, a powinienem chronić ciebie. Wstyd mi. Teraz odzyskałem hierarchię wartości. - Zamilkł na chwilę. - Jeśli naprawdę tego chcesz, zniknę na zawsze z twojego życia - powiedział z determinacją. - Ale musisz wiedzieć, że jesteś dla mnie najważniejsza.

Beth słyszała, jak mocno bije jej serce.

- A ty nie jesteś ani moją proteżką, ani talizmanem. Po prostu kocham cię. Tylko że nadal jestem uzależniona. Potrafisz o tym zapomnieć?

- Nie, ale zrozumieć, jeśli dasz mi taką szansę.

Beth nie miała pewności, do czego zmierzał.

Tliła się w niej iskierka nadziei, choć do tej pory nie zaoferował nic poza zrozumieniem.

- Jak mnie postrzegasz? Jako alkoholiczkę? Przyjaciółkę? Kobietę? - zaryzykowała.

- Szczerze? Jesteś dla mnie każdą z nich po trochu. I widzę cię także jako matkę moich dzieci.

Beth zawirowało w głowie. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa.

- Zacznijmy od przyjaźni - zaproponowała.

- No nie wiem. Moje obecne uczucia są dalekie od przyjacielskich. - Uniósł ją i pocałował namiętnie w usta.

Pocałunek trwał całą wieczność. Był dla Beth jak szklanka wody w upalny dzień albo ciepło kominka w zimowy wieczór.

- Kocham cię za to, jaka jesteś - szepnął.

Zachwiała się na nogach, krztusząc się łzami.

- I zawsze kochałem - dodał, wyczuwając jej wątpliwości. - Nawet wtedy, kiedy bałem się do tego przyznać, zajmowałaś szczególne miejsce w moim sercu.

Objął ją i mocno przytulił. Beth nawet nie próbowała obetrzeć spływających po twarzy łez. Czowała się tak bezpiecznie.

- Co z nami będzie dalej? - spytała tylko po to, żeby słyszeć jego głos.

- Zapraszam cię na obiad. Potem kupimy ci odpowiednie obuwie na statek. Będziesz moją pierwszą głównodowodzącą.

Cofnęła się o krok i spojrzała na niego.

- A co z moimi podopiecznymi?

- Zmiana miejsca terapii i morskie powietrze dobrze im zrobi - zapewnił z uwodzicielskim uśmiechem.

- Widzę, że już wszystko dokładnie zaplanowałaś.

- Jasne. Chcesz wychowywać dzieci na odległość? - spytał poważnym tonem, patrząc jej głęboko w oczy. - Ale najpierw idziemy na obiad. Wyglądasz, jakbyś tygodniami chodziła głodna.

- Czuję się, jakbym nie jadła całe wieki - mruknęła, kładąc mu głowę na ramieniu.

- Pozwól, że zaspokoję twój głód. Reszta może poczekać.

W okamgnieniu ich wargi połączyły się w gorącym pocałunku.

- Zaraz... - Beth uniosła głowę, jakby przypomniała sobie coś niepokojącego. - Powiedziałaś: pierwszą głównodowodzącą. Miałam nadzieję, że jedyną.

- Umowa stoi. - Pełen miłości uśmiech rozwił resztkę jej wątpliwości.

